NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKOW, UL. ZIELONA 7.
Nr. TELEFONU 479.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok I. Kraków, 3 grudnia 1904 r. Nr. 10.

Aresztowanie nadkomisarza policyi.



(Do artykułu na str. 4).

Numer ten zawiera 24 stronic druku!



9 (Ciąg dalszy).

POWIEŚĆ.

Młody adwokat stał jak głaz nieruchomy i milczał, siła woli bowiem kochanki i jej despotyzm przemogły go i złamały. Nie spuszczał jednak wzroku z koperty, którą Marcelina obracała w ręku na wszystkie strony.

— Tu się znajduje ostatnie rozporządzenie mego męża. Nie wiem dlaczego drzę... dlaczego ta koperta pali mi dłonie.

— Połóż ją tam, zkąd ją wzięłaś... i zamknij kasę. Zrzeknij się milionów, które nie są twoją własnością, a które... chciej mi wierzyć... strasznem brzemieniem nieszczęść nas przygniotą. Dotąd, jak już powiedziałem, los nam sprzyjał. Dzięki dziwnemu zbiegowi okoliczności, uniknęliśmy sądu i kary, sumienia nasze jednak nie mogą być spokojne. Nie wywołujmy nowej katastrofy, która tym razem nie minie, bez pozostawienia po sobie groźnych i zgubnych dla nas śladów.

Słuchając Kazimierza hrabina mięła kopertę w ręku. W końcu rozdarła ją zniecierpliwiona.

— Stało się — rzekła — stało... mimowoli.

Powstała z miejsca, zbliżyła się do kominka i kandelabrów, i przy ich świetle czytała drżącym głosem:

„To mój testament.

„Umieram, nie pozostawiając po sobie ani przywiązania, ani żalu, zapisuję więc cały mój majątek warszawskiemu Towarzystwu Dobroczynności.

„Edward hrabia Jelski.“

Zdziwienie odmalowało się na obliczu Marceliny. Po chwili szepnęła z goryczą:

— Mój mąż nieboszczyk zapisuje całą swą fortunę Towarzystwu Dobroczynności, mnie więc wydziedzicza... mnie, która starcowi rozpustnemu oddałam młodość i piękność moją! Nikczemnik!... Gdybym tego papieru nie znalazła, wykwitowanoby mnie stoma tysiącami rubli, przyznanymi mi w intercyzie ślubnej... Dla mnie tylko sto tysięcy!

— Zastanów się Marcelino. Zagarniając to, co się tu znajduje, wydziedziczasz ubogich! Obowiązkiem twoim najświętszym jest złożyć testament w sądzie i nie ruszać niczego.

Marcelina wzruszyła ramionami pogardliwie.

— Później... nie mówię... zwrócę może Towarzystwu Dobroczynności część majątku, znalezionego w tej kryjówce, lecz teraz wydrzeć go sobie nie dam! Ani słówka nie pisnę nikomu o testamencie, choćby tylko ze względu na bezpieczeństwo nasze. Gdybym go złożyła w sądzie, zapytanoby mnie, w jaki sposób go dostałam... i byłabym zgubioną. Wszystkie podejrzenia odżyłyby naraz.

— Niestety, masz słuszność! — jęknął Kazimierz.

— Mam zawsze słuszność — rzekła hrabina patrząc na młodzieńca i uśmiechając się ironicznie. — To też polegaj na mnie i pozwól, żebym tak ciebie jak i siebie broniła, bo przecież rozumiesz chyba, że idzie tu o naszą miłość i o nasze życie.

Oparła głowę na ramieniu Molskiego i szeptała czule:

— O! ty sobie nie zdajesz sprawy z szalonej mojej dla ciebie miłości. Od chwili, w której po raz pierwszy cię ujrzałam, znienawidziłam mego męża, a nienawiść ta, przy męczarniach, jakie mi zadawał, ukrywając przedemną, los mego dziecka, wzrastała codziennie. Serce moje pożerała zgryzota, łzy gorące wypalały oczy... Spotkawszy cię, sądziłam, że widzę anioła, który rozpacz moją zrozumie i pocieszy... pocieszy. Dlatego narzuciłam ci się z miłością... więc teraz kochać mnie musisz całą duszą, nad wszystko!

— Bo miłość nasza i zbrodnia wspólnie dokonana, wiążą nas na zawsze — rzekł młody człowiek, pochylając chmurne czoło.

Ona zaś słodkim głosem mówiła dalej:

— Widzisz... mnie się zdaje, że zbrodnia nasza, to tylko przykry sen. Wprawdzie zamordowałam, lecz nie wiem, jak się to stało... Śniłam, śniłam pewnie, a teraz nic nie pamiętam. Dlaczego ty, mężczyzna, gdy w szale, niezrozumiałym dziś dla mnie, dławiłam nikczemnika... dlaczego mnie nie powstrzymałeś?

Zimny dreszcz przebiegł ciało Kazimierza.

— Cóż myślisz teraz uczynić? — zapytał.

Ona spojrzała na niego z udanem zdziwieniem.

— Co myślę uczynić?... Ależ przedewszystkiem spalę testament, zamienię go w popiół drobniutki, drobniutki. Potem zabiorę wszystko, co się w kasie znajduje... perły, złoto, dyamenty, banknoty i papiery wartościowe...

To mówiąc, papier trzymany w ręku zapaliła od świecy i płonący rzuciła w kominek. Testament palił się naprzód bujnym płomieniem, następnie skurczony tlił powoli. Gdy już nie pozostało z niego ani szczątka, radością zajaśniały jej oczy.

— Czy widzisz, co się stało z wydziedziczającym mnie szpargałem?

— Teraz przychodzi kolej na kradzież — syknął przez zaciśnięte zęby Kazimierz, jak trup blady — a ja, teraz i zawsze, jestem twoim wspólnikiem. O, przekleństwo jakieś ściga nas oboje!... Przecież jesteś matką opuszczonego i prawdopodobnie znoszącego biedę dziecięcia, jak tyle innych dzieci do niego podobnych, którym pragniesz wydrzeć ich mienie. Marcelo! zaklinam cię na miłość dla twego syna, ulituj się nad wydziedziczonymi.

— Dziecko moje cierpi, dziecko moje nieszczęśliwe, więc co mnie inne obchodzić mogą! Nie, nie! litować się nie będę. Myślę tylko o moim synu. Chcę użyć tego, co tu leży na odszukanie go jak najrychlejsze. Powiedziałeś kiedyś, żem się sprzedała wstrętnemu starcowi. Dobrze zrobiłam; teraz widzę, żem dobrze zrobiła! Mam za co zbawić i uszczęśliwić mego syna.

To mówiąc siadła, zakryła twarz rękami i rozpłakała się rzewnie. Łzy, przeciekając przez palce, jak grad toczących się pereł, spadały na jej łono. Kazimierz z głębokiem wzruszeniem patrzał na młodą kobietę.

— Marcelo! — zawołał, chwytając ją za ręce — Marcelo! spojrzyj na mnie. Wiem, że jesteś dobra, tylko szał piekielny rozpętał w twojej ślicznej główce jakąś straszną burzę i pomieszał ci zmysły. Ubóstwiam cię całą siłą pierwszej w mojem życiu namiętności. Patrz na mnie! Chcę widzieć w cudnych oczach twoich znamiona tego szału, który popchnął cię do zbrodni, a teraz rzuca nas oboje w otchłań wspólnej zguby. — Zamyślił się i szepnął po chwili. — Co się stało z białym sznurem jedwabnym? Miałaś go jeszcze wczoraj na sobie. Trzeba go spalić, jak spaliłaś testament. O, Marcelo moja! Teraz znowu mnie się zdaje, że oszalałem... Drżę, obawiam się, lękam...

Ona wzruszyła ramionami i rzekła tonem poważnym:

— Przeszłość, jest przeszłością. Już jej nie zawrócimy. Minęła... minęła dawno. Teraz musimy myśleć o przyszłości. — Powstała i wskazując na kasę powiedziała stanowczo. — Trzeba to wszystko zabrać zaraz.

— Zaklinam cię Marcelo!

— Nie lękaj się. Nie myślę mieniać papierów natychmiast, ani sprzedawać brylantów, których za nic w świecie nie wzięłabym na siebie. Uczynimy to razem, później, znacznie później. Możesz być spokojny, będę ostrożną... bardzo ostrożną.

W oczach tej kobiety wyczytać było łatwo mocne, niewzruszone postanowienie, oparte na z góry ułożonym planie. Z zadziwiającą logiką odpowiadała na każdy zarzut; z każdej przedstawionej sobie trudności wskazywała natychmiast bezpieczne wyjście. Kazimierz czuł, że cofnąć się nie może. Współudział w zbrodni wiązał go z nią na całe życie. Rzekł jednak jeszcze:

— Pałac ten już nie należy do ciebie... a dobra ziemskie zmarłego zabiorą spadkobiercy...

— Dlaczego?

— Bo niema testamentu, któryby ci je przyznawał.

— No, to zadowolnię się tem, co jest w kasie! — rzekła gorączkowo, wsuwając ręce w głąb kryjówki.

Zamknęła mu usta. Kazimierz nie chciał mówić więcej. Nie miał już sił do walki i dłuższego oporu. Zamroczyło mu się w oczach, jakby nagle ujrzał przed sobą czarną, bezdenną przepaść, która prędzej czy później musi pochłonąć oboje. Czuł, że Marcelina panuje nad nim wszechwładnie. Hipnotyczną jakąś siłą pozbawiła go woli. On, syn człowieka bez skazy, wnuk i prawnuk całego szeregu zacnych przodków stał się dla niej i przez nią zbrodniarzem-złodziejem. Jak pijany spogląda na kochankę, wydobywającą z kasy pakiet po pakiecie, rulon po rulonie, pudełko po pudełku. Ustawiła wszystko na stole i na kawałku czystego papieru sumuje wartość i cyfry wyjętych kapitałów i klejnotów. Gdy skończyła, szepcze z radością:

— Milion ośmkroć sto tysięcy... To wcale ładnie. Nie spodziewałam się, że będzie tyle. Więc jesteśmy bogaci, możemy żyć po pańsku, nie lękając się przyszłości. Przytem młodzi jesteśmy i kochamy się... kochamy! Jutro, jeśli zapragniem, spełnić się mogą marzenia nasze; jutro, połączyć się możemy węzłem małżeńskim i śmiało całemu światu spojrzeć w oczy!

Kazimierz milczy ciągle, ona szepcze dalej:

— O, za pieniądze użyjem wszelkich upojeń i rozkoszy!... Bogaci! bogaci! Czy pojmujesz ile radosnych zapowiedzi mieści się w tym wyrazie?! Jeśli zechcesz, opuścimy Warszawę, wyjedziemy zagranicę... albo, jeśli rozkażesz, kupimy chatę w górach, a tam oddani duszą i ciałem wzajemnej miłości, zapomnimy łatwo o czarnych myślach, które nas tu trapią!

Młodzieniec usiadł i milcząc słuchał. Głowę zwiesił na piersi, a blade jego wargi drżały jak w febrze. Ona spostrzegła nareszcie, jak strasznie cierpi i objęła szyję Kazimierza ramieniem.

— Uczynię, co zechcesz, wszakże jestem twoim niewolnikiem — szepnął.

— Ty, moim niewolnikiem! — zawołała, klękając przed nim. — Nie, to ja jestem twoją niewolnicą. Ty zaś moim kochankiem, moim panem, jedynym człowiekiem na świecie, którego kocham i kocham; jedynym, który zna najskrytsze myśli moje; jedynym, dla którego dusza moja nie jest zagadką i tajemnicą. Tak, tak... to ja jestem twoją poddanką i sługą, bo cię uwielbiam, bo cię ubóstwiam!

Głos jej brzmiał mile, jak kołysanka, śpiewana nad usypiającem dzieckiem, a dźwięk jego mieszał mu zmysły, upajał go, odurzał.

— Masz słuszność! — powtarzał. — Ani ty, ani ja, nie jesteśmy zbrodniarzami. Broniliśmy naszego wspólnego szczęścia... musieliśmy go bronić. Nie my, lecz fatalność sprawiła, że ręce nasze krwią splamione... Przeznaczenie nami kierowało...

— Nareszcie, mój drogi, mówisz rozsądnie!

Ustami płomiennemi dotknęła jego czoła.

— A teraz, zabierzmy ztąd moją zdobycz — rzekła, sypiąc papiery, złoto i klejnoty do kosza, stojącego przy biórku. — Majątku naszego nie możemy pozostawić w kasie, bo dziś lub jutro gotów kto odkryć kryjówkę. Przenieś kosz do buduaru. W ciągu dni kilku przechowam wszystko u siebie, a potem pomyślimy co robić.

Druga biła na zegarach pałacowych, gdy Kazimierz zdobył się nareszcie na pożegnanie Marceliny.

— Odchodzisz?

— Muszę.

— Niezawodnie... masz racyę. Służba nie powinna cię widzieć tutaj.

Uścisnęli się, przejęci dziwnym jakimś niepokojem.

Marcelina, pozostawszy sama, przeszła do sypialni, raczej dla zmienienia toalety niż dla spoczynku, czuła bowiem, że doznane wzruszenia zasnąć jej nie pozwolą. Przywdziała wykwintny szlafrok i machinalnie wyciągnęła ręce, żeby opasać się białym sznurem jedwabnym. Ale sznura przy szlafroku nie było. Nosiła go niemal nieustannie na sobie, od pamiętnego wieczora, w którym udusiła męża, lecz do żałobnej sukni, w której udać się musiała na rozprawę sądową, wziąść go nie mogła. Pamięta, że pozostawiła go wraz z szlafrokiem w szafie. Co się z nim stało?

Całą resztę nocy spędziła na próżnych poszukiwaniach. Sznura nie znalazła.

— Kto go zabrał z sypialni? kto? kto? — pytała się siebie srodze zaniepokojona, nie znajdując odpowiedzi na zapytanie. Pokój był zamknięty. Wychodząc z pałacu, klucz zabrała z sobą.

Straszny lęk owładnął jej sercem.

XI.

W parę dni potem o wpół do piątej wieczorem jednokonna kareta zajechała przed główne drzwi domu sędziego Piotra Molskiego. Dostrzegła ją przez okno Eugenia i zwróciła się się do ojca:

— Wszakże dziś nie wyjeżdżasz, papo, ani do sądu, ani na miasto?... pozwolisz zatem, że przejadę się twoim powozem.

— Śnieg pada, moje dziecko, chłodno... jeszcze się przeziębisz.

— Wiesz przecie, że to dziś dzień, w którym zwykle odwiedzam ubogich.

— Domyślam się do jakich ubogich każesz się teraz zawieść — rzekł Piotr, rzucając na córkę badawcze spojrzenie.

— Pojadę na Chmielną — odparło dziewczę z wrodzoną sobie szczerością.

— Czy sądzisz, że obecność twoja u tych ludzi przyda się na co?

— Pocieszę ich... udzielę im wsparcia.

— Nie przyjmą. Za dumni są na to; nie wezmą jałmużny.

— A przecież spróbuję! Tak bardzo pragnęłabym dopomódz jego dzieciom. Ach, papo, jaka to straszna i bolesna sprawa!

— Marcin Żarski popełnił zbrodnię.

— Nie ojcze. On zbrodni nie popełnił. Wierzę w jego niewinność. Wszystkich ich więc i ciebie drogi ojcze, zmyliły oskarżające go poszlaki...

— Nie mów ze mną o nim, moja Geniu — rzekł sędzia, powstając z krzesła — bo wątpliwości twoje sprawiają mi wielką przykrość... Lada dzień go wywiozą i prawdopodobnie nie wróci nigdy do kraju.

— Nigdy! – powtórzyła Eugenia. — Nigdy! Dwie łzy zawisły na jej rzęsach.

Narzuciła na siebie ciemny płaszczyk, podbity futrem; czarny, barankowy kołpaczek włożyła na głowę i uściskawszy ojca, który z domu wypuścić jej nie chciał, zbiegła ze schodów, aby wsiąść do karety.

— Na Chmielną — rzekła do stangreta.

Równym kłusem ruszył koń z miejsca w kierunku wskazanym.

Nigdy może w życiu nie czuła się Eugenia tak bardzo smutną i tak do gruntu wzruszoną. Przedsięwzięte przez nią odwiedziny napełniały jej dobre serduszko niepokojem. Biło w jej łonie zdwojonem tętnem, gdy powóz zatrzymał się przed domem, w którym Żarscy mieszkali.

— Do kogo? — zapytała stróżka, zamiatająca śnieg przed bramą.

— Do rodziny pana doktora Żarskiego.

— Oj, biedni oni, biedni!... Na drugiem piętrze, proszę panienki. Drzwi na prawo, przy schodach.

Powoli przeszła Genia dwa piętra i zadzwoniła do drzwi, z których nie usunięto jeszcze metalowej tabliczki z nazwiskiem lekarza. Janek je otworzył. Nie mówiąc i słowa udała się panna Molska za chłopcem do jadalnego pokoju. Na jej widok obie dziewczynki powstały.

— Babciu, jakaś pani — rzekła Sabinka.

— Jestem państwu obcą i nieznaną, a jednak przychodzę, żeby was pocieszyć — powiedziała Eugenia nieco drżącym głosem.

— Dowiedziałaś się pani o naszej niedoli i sądzisz pewno, jak inni, że syn mój jest winowajcą.

— Syn pani?

— Tak, syn mój. Jestem jego matką... matką, skazanego na Sybir za niepopełnione morderstwo. Przychodzisz nas pocieszyć. Czy pocieszyć można w takiem nieszczęściu?

— O, biedna pani... biedne dziewczątka...

— Możesz nas żałować, bo los obszedł się z nami okrutnie. Nędza dawała się nam zawsze we znaki, bo pacyenci Marcina byli to tacy sami, jak my biedacy, lecz znosiliśmy niedostatek cierpliwie. Krępował nas najbardziej i przejmował



– To nędznik! rozbójnik! kat!..

obawą zły stan zdrowia Klary, gasnącej na suchoty... Pani jej nie zna. Istna męczennica!... Dziś rano odwieźliśmy ją do szpitala. bo tu pozbawioną była wszelkich wygód i lekarskiej pomocy, a tam otoczą ją staraniami koledzy Marcina, zacni ludzie, którzy w winę mego syna nigdy nie wierzyli i dotąd wierzyć nie chcą...

— I ja w nią nie wierzę — rzekła Eugenia, drżąc całem ciałem i przyciągając do siebie Sabinkę, bliżej niej stojącą. — Nie nigdy nie uwierzę, aby ojciec tych aniołków był mordercą!

— Niechże pani pójdzie to powiedzieć sędziemu śledczemu, temu nędznikowi Piotrowi Molskiemu, który dziecko moje postawił przed sądem.

— Molski mniemał, że spełnia swój obowiązek — szepnęła Genia niepewnym głosem.

— Swój obowiązek?!... Nie, pani, on nie spełnił swego obowiązku. Powinien był rozumieć, że Marcin, który mu ocalił córkę od niechybnej śmierci, nie chciał się bronić i tłómaczyć, bo nie mógł wyjawić pewnej smutnej, a nas tylko dotyczącej tajemnicy. Ach, najdroższe dziecko! chciało mnie ochronić... i to go zgubiło.

Eugenia pochyliła czoło i zalała się łzami; Sabinka zaś i Zosia, na widok łez, spływających po licach nieznanej im, ale takiej ładnej i miłej osoby, zapłakały także, lecz cicho, bez łkania, i jęku, wiedziały bowiem, że babka jest strasznie rozdrażniona, że obecnie łatwo wpada w gniew i gwałtowne uniesienie. Od chwili wydania i ogłoszenia przez sąd wyroku ślepa straciła siłę panowania nad sobą. Ani razu nie położyła się do łóżka. Noce całe spędzała we fotelu, na którym teraz siedzi, pogrążona w smutku i rozpaczy. Oddawna już całą rodzinę przycisnęła okropna bieda. Wszystko, co było cenniejszego — trochę sreber stołowych i kosztowniejsze suknie — zaniósł Janek do lombardu, bo przecież trzeba było dzieci nakarmić, odwieść chorą w wygodnym powozie do szpitala, zaopatrzyć ją w świeżą. cieńszą bieliznę i zapłacić za miesiąc komorne, żeby nie sprzedano reszty sprzętów i mebli i nie wyrzucono pozbawionych środków i opieki na ulicę.

Staruszka, myśląc o tem wszystkiem, zaczęła opowiadać, jaki z Janka dobry chłopiec, jak troskliwie czuwa nad siostrzyczkami — które przecież nie są jego siostrami — jak życzliwie, z jaką delikatnością nią samą się zajmuje w domu i na ulicy, gdy ją prowadzi za rękę, strzegąc od potrącenia i rozjechania. Genia spojrzała na wątłego i mizernego chłopaka, który spuścił oczy i oblał się rumieńcem, a w wyrazie jego twarzy malował się taki brak wszelkiej nadziei i takie rozczarowanie, jakiego na licach dzieci nigdy nie widziała.

— Biedny malec! — myślała w duchu. — Jeden więcej wydziedziczony, bez przyszłości, bez wiary w siebie.

Po chwili powstała z podanego jej przez dziewczynki krzesła. Zwróciła się do ślepej, ujęła jej suche pomarszczone ręce w swoje dłonie i rzekła słodkim głosem:

— Przyszłam tu głównie, aby pocieszyć ciężko strapionych, lecz także chciałabym nieść pomoc.

Kimże pani jesteś? — przerwała staruszka.

Genia zawahała się, co ma odpowiedzieć, a piękne jej oczy przysłoniła mgła wilgotna.

— Jestem ta... którą niegdyś doktor Żarski wyleczył z ciężkiej choroby... jestem Eugenia Molska.

— W takim razie jesteś pani córką człowieka, którego z głębi duszy nienawidzę! — zawołała Żarska ochrypłym od oburzenia i gniewu głosem.

— O pani! błagam cię, nie obwiniaj mego ojca. To człowiek prawy i dobry...

— To nędznik! rozbójnik! kat!

— Pani, pani! wiesz przecie, jak groźne podejrzenia ciążyły na twoim synu...

— Jakie? jakie?

— Uciekł z pałacu hrabiego Jelskiego bez kapelusza, jakby ścigany wyrzutami sumienia...

Ślepa otarła pot gęstemi kroplami występujący na jej czoło.

— To prawda!... to prawda! — szepnęła.

Lecz nagle, jakby jakiemś, przeszywającem serce wspomnieniem rażona, krzyknęła znowu:

— Niech mnie pani opuści!... Proszę ze mną nie mówić o infamisie, który wydarł mi syna!... Niech pani wyjdzie! Proszę stąd wyjść natychmiast! Przyszłaś, żeby mi urągać, żeby mnie udręczać, żeby brać serce moje na okropne tortury i rozprawiać o ludziach, którymi się brzydzę, a gdy myślę o nich, krew w żyłach moich wre i kipi. Powiadasz, że były podejrzenia, które oskarżały Marcina, a milczysz o jedynem słusznem podejrzeniu, zwracającem się przeciw kobiecie, odnieść mogącej korzyść ze śmierci męża... nienawidzonego... tak! nienawidzonego, powtarzam... bo ta kobieta miała kochanka!

Staruszka, chociaż sina od gniewu, zamilkła jednak niespodzianie.

Genia spojrzała na nią z rozpaczą i trwogą, bo w tej chwili myśl lotna, jak błyskawica, mignęła w jej mózgu, olśnionym nagle jasnowidzeniem. „Och, tym kochankiem był mój brat! Nie mógł być kto inny!“ C. d. n.



Fot. Münz. Lwów.
Kapela narodowa we Lwowie: Kapelmistrz lwowskiej „Kapeli narodowej“ Maciej Martyński.

Aresztowanie nadkomisarza policyi.

(Do illustracyi tytułowej).

Niespodziane oberwanie chmury, rzecz prawie niemożliwa w obecnej porze roku, bomba rzucona przed starostwem, której wybuch zniszczyłby gmach cały, grzebiąc pod gruzami setki niewinnych ofiar — jeszczeby nie zelektryzowały tak mieszkańców Krakowa, jak wieść o przyaresztowaniu i osadzeniu w więzieniu śledczem tutejszego krajowego sądu karnego, starszego komisarza policyi krakowskiej Stanisława Balickiego.

Gdy wieść ta rozeszła się po mieście, zrazu nikt nie chciał w nią uwierzyć; każdy uważał ją za płotkę złośliwą, lub co najmniej za wytwór bujnej fantazyi jakiegoś pessymisty, który rad na słońcu znachodzi plamy. Nie czekano jednak długo na potwierdzenie tej niby plotki. Wszystkie poniedziałkowe dzienniki z zeszłego tygodnia, w mniej lub więcej oględnych wyrazach stanowczo oświadczyły, że na żądanie sędziego śledczego dra Kisiela, wskutek uchwały Izby radnej sądu karnego, nadkomisarz policyi dr. Józef Broszkiewicz przyaresztował nadkomisarza Balickiego. pod zarzutem nadużycia władzy urzędowej i odstawił go do aresztów śledczych.

Co do samej istoty czynu, jakiego dopuścił się aresztowany komisarz policyi, krążą różne pogłoski, dotychczas nie sprawdzone, gdyż śledztwo w tej sprawie, jak to zresztą zawsze bywa, otoczone jest najściślejszą tajemnicą. Jedni owo nadużycie władzy łączą ze sprawą sławnych kradzieży kolejowych, inni wspominając o tym wypadku, uważają go jako dalszy ciąg aresztowań, które nastąpiły wówczas, gdy prokuratorya państwa zajęła się działalnością banku zastawniczego przy ulicy Wiślnej.

Czy i o ile aresztowany komisarz zawinił, czy istotnie dopuścił się nadużycia władzy, czy też tylko lekkomyślność okryła go pozorem winy, tego z góry przesądzać nie można i należy oczekiwać, jakie zdanie wyrobią sobie o zarzutach ciężących na p. Balickim sędziowie przysięgli, przed którymi stanie niebawem jako oskarżony.

I my nie myślimy odrazu, bez zbadania sprawy tej dokładnie, rzucać kamieniem potępienia na człowieka, który w jednym dniu utracił wszystko, co miał najdroższego: dobrą cześć i stanowisko, zapewniające byt jego licznej rodzinie. Znając jednak materyalne przykre położenie oskarżonego, na którem zaciężyły długi jego rodziny po żonie, wiedząc, z jakiemi trudnościami finansowemi musiał on walczyć, przypuszczamy, że mógł uledz pokusie i istotnie wdał się w jakieś manipulacye z powierzonymi mu depozytami. Jeśli tak było istotnie, uznajemy jego winę, ale nie możemy się powstrzymać od uwagi, że większą winę ponosi w tym wypadku naczelna władza aresztowanego, dla której warunki, w jakich on prowadził życie, nie były tajemnicą, a która mimo to i mimo, że jako władza bezpieczeństwa, powinna była znać ułomność ludzką, przecież powierzyła mu tak odpowiedzialne stanowisko i sama naraziła go na pokusę.

Z powodu tego wypadku ani rząd, ani osoby prywatne nie poniosą żadnej szkody, gdyż brat nadkomisarza Balickiego, człowiek dość zamożny, zgłosił się do sądu i złożył deklaracyę, że wszystkie straty, jakie spowodował aresztowany, każdej chwili gotów jest pokryć i takowe następnie pokrył.

Rycina nasza przedstawia właśnie chwilę, w której starszy komisarz policyi dr. Broszkiewicz, aresztuje kolegę swego Balickiego w jego biurze „pod Telegrafem“.



Fot. Münz. Lwów.
Kapela narodowa we Lwowie: Dyrektor i założyciel lwowskiej „Kapeli narodowej“ Stanisław Drewniak.

Kapela narodowa we Lwowie.

Wiemy dobrze, w jak ciężkich warunkach wiedzie swój żywot krakowska „Harmonia“, i to dzięki tylko tej dziwnej jakiejś manii, którą społe-



Fot. Münz. Lwów.
Kapela narodowa we Lwowie: Grupa członków lwowskiej kapeli narodowej z dyrektorem Drewniakiem i kapelmistrzem Martyńskim na czele.

czeństwo nasze ma do muzyk wojskowych, a które z tego powodu są dla „Harmonii" konkurentem wprost nie do pokonania!

Pisząc te słowa pewni jesteśmy z jakim spotykamy się tłumaczeniem.

— Jakże się nie mamy posługiwać wojskowemi muzykami, skoro „Harmonia" gra tak licho, skoro brak jej wykształconych i wyszkolonych muzykantów".



Sprawa Syvetona: Porucznik artyleryi André syn b. ministra wojny.

My jednak za tłumaczenie nie możemy tego uważać i odpowiemy krótko:

„Niech teatr zamiast muzyki wojskowej używa „Harmonii", niech nasze komitety balowe nie lecą na sławę „setnych" „trzynastych" i pięćdziesiątychszóstych", niech nasze restauracye pamiętają o tem, że istnieje „Harmonia", a wówczas z pewnością zarząd tej muzyki zyskawszy finansowe środki postara się o dobrych muzykantów zawodowych i poparty tak przez ogół obywateli, stworzy orkiestrę, która śmiało będzie mogła konkurować z wojskowemi muzykami.

Do czego zaś prowadzi takie popieranie wojskowych muzyk najlepszy dowód mamy na Lwowie, gdzie mimo subwencyi miejskiej, mimo wszelkich wysiłków szczupłego niestety grona dobrze myślących obywateli „Harmonia" po kilku latach przestała istnieć.

Ale i we Lwowie zbudził się teraz prąd przeciw monopolowi, jaki zdobyły sobie różne „trzydziestki", „piętnastki" i „ośmdziesiątki". I Lwów przyszedł do przekonania, że powinien mieć własną muzykę miejską.

Dzięki inicyatywie i staraniom jednego z maluczkich, powstała tam „Kapela narodowa", która w czasie krótkiego swojego istnienia, zdołała się już tak zaaklimatyzować, że niema przynajmniej żadnego obchodu narodowego, aby nie brała w nim udziału.

Twórcą jej jest Stanisław Drewniak, który po upadku „Harmonii" długi czas nosił się z myślą stworzenia nowej kapeli i wreszcie zabrał się do zorganizowania jej bez żadnej postronnej pomocy, opierając się jedynie na własnej pracy i na własnych choć szczupłych środkach finansowych.

Zabiegi p. Drewniaka uwieńczył pomyślny skutek. Umiał on szczęśliwie trafić na ludzi, którzy chętnie wstąpili w szeregi nowo tworzącej się kapeli, a choć nie przynieśli oni z sobą wielkiego wykształcenia muzycznego, to jednak potrafili szczerą wytrwałą pracą brak ten uzupełnić.

Batutę dyrygenta złożył p. Drewniak w ręce Macieja Martyńskiego, a ten odrazu szczerze wziął się do roboty i w niedługim czasie zdołał z ochotników, którzy się zgłosili, stworzyć karną, zgraną ze sobą gromadkę muzyczną i „Kapela narodowa" wystąpiła wreszcie na arenę publicznego życia we Lwowie.

Początki jak zwykle były ciężkie. Na nową kapelę, strojną w bogate mundury piechoty polskiej z r. 1831, patrzano z niedowierzaniem, ale powoli zaczęła ona zdobywać sobie coraz to większy mir u mieszkańców, coraz większe uznanie i dziś pozyskawszy sobie subwencyę ze strony gminy, rozwija się powoli wprawdzie, lecz stale...

Widać z tego, że miejskie kapele mają zupełną racyę bytu, że mogą dojść nawet z czasem do stopnia zupełnej doskonałości, jeśli tylko społeczeństwo zechce dać im tę pomoc, do której moralnie jest zobowiązanem.

Angelus et Comp.

Umysły Krakowa zajmuje teraz wielka sprawa: Angelus et Comp.

Po całym szeregu różnych malwersacyi, defraudacyi, sprzeniewierzeń i kradzieży, jakie w ostatnich latach zaszły w Krakowie, a których epilogiem była albo szczęśliwa ucieczka grzesznika, albo też kara sądowa, zaczęły krążyć głuche wieści o różnych nieprawidłowościach w prywatnym, ale koncesyonowanym przez władze zakładzie zastawniczym.

Bank ten był właściwie towarzystwem akcyjnem, na którego czele jako główny właściciel i dyrektor figurował Włodzimierz Angelus, zbankrutowany kupiec. Widocznie zatem nie wielkie chyba zasoby mógł wnieść Angelus do tej spółki, a zakład musiał być bardzo rentownym interesem, skoro Angelus po kilkoletniej pracy pożyczania, doszedł do tak przyzwoitej fortunki, że był wstanie kupić sobie od p. Klimka wspaniałą dwufrontową kamienicę na rogu głównego rynku i ulicy Brackiej, którą potem częściowo zburzył i zbudował na uzyskanym w ten sposób placu nową bardzo ładną kamienicę, dokąd zamyślał przenieść biura zakładu zastawniczego.

Zanim jednak zdołał wykonać te ostatnie swoje marzenia, uczepiła się go sprawiedliwość, do której uszu doszły plotki, że w banku Angelusa nie koniecznie wszystko jest w porządku.

Plotki wspominały wiele o lichwie, uprawianej przez Angelusa na ubogiej ludności i musiało w tem być coś prawdy, skoro nieugięta sprawiedliwość nie dała wmówić w siebie, że Angelus jest niewinny, lecz przeciwnie tyle nabrała przekonania o „nieścisłości" w obliczaniu procentów przez funkcyonaryuszy zakładu, że reprezentant sprawiedliwości sędzia śledczy dr. Kisiel uważał za niezbędne rozciągnąć areszt śledczy nad osobą szczęśliwego „finansisty".

Gdy w zakładzie zabrakło w ten sposób głowy i ducha, któreby pamiętały o utajeniu różnych sekretów interesu, nastąpił nagły zwrot, straszny nieprzewidywany krach!

Oto podczas rewizyi, jaką sędzia śledczy podjął w asystencyi policyi, celem przekonania się. o ile właściwie zgadzają się księgi rachunkowe zakładu z nagromadzonemi fantami, w biurku taksatora przedmiotów złotych srebrnych i biżuteryi Franciszka Limanowskiego, znaleziono cały zapas świeżo wyłupanych drogich kamieni...

Sędzia Kisiel odrazu wpadł na domysł, w jaki to sposób Angelus doszedł do tak ładnej kamieniczki, a Limanowski do bardzo przyzwoitej realności na Półwsiu Zwierzynieckiem i dla pewności przyaresztował Limanowskiego, oraz pierwszą manipulantkę tego banczku, krewną Angelusa Julię Brachówną.

Pokazało się, że plotki nawet w drobnej części nie dorosły do rzeczywistej prawdy. Kraków wciąż jeszcze zostaje pod wrażeniem, jakie wywołały rewizye po domach prywatnych u tych osób, które zawierzyły grosz swój Angelusowi i na które, choć — jak się pokazało — całkiem niewinnie padł cień podejrzenia o współudział w tych czynach pełnych chwały.

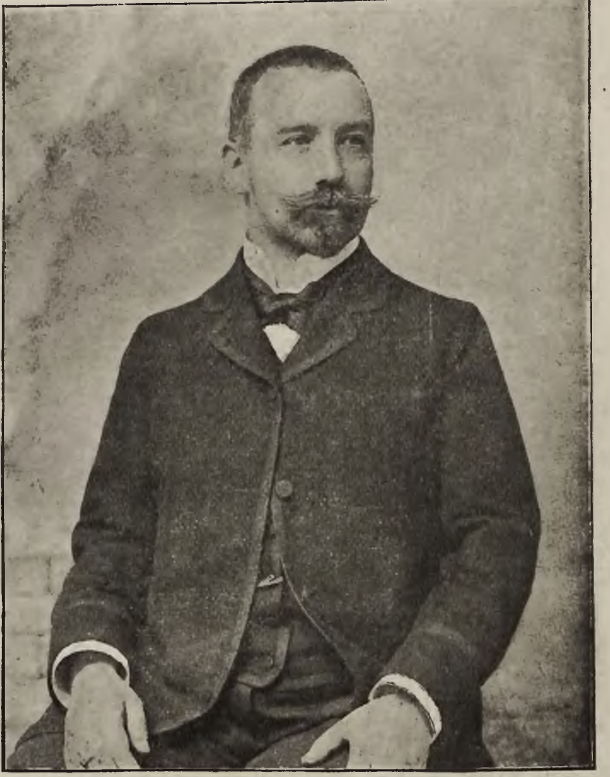
Co jeszcze przyszłość w tym kierunku przyniesie, jakie niespodzianki czekają Kraków, przewidzieć trudno, ale w każdym razie, miasto nasze jest w przededniu senzacyjnego procesu, który w niwecz obróci jedno więcej gniazdo — powiemy delikatnie rozboju!...

Jeszcze jedno!

Gdy okazało się, że prywatny zakład zastawniczy, jest zawsze obliczany na zysk i ubogiej warstwie ludności nie tylko nie przynosi żadnych korzyści, ale wprost jest tą pijawką tuczącą się jej krwią serdeczną, jej nędzą, pytamy, czy taki prywatny zakład jest potrzebny, czy władze powinny wydawać koncesye na takie przedsiębiorstwa?

Wszak oddział zastawniczy miejskiej Kasy Oszczędności, prowadzony pod ścisłą kontrolą fachową i przyjmujący wszystko, nawet niecechowane przedmioty złote i srebrne, wszak prawdziwie filantropijna tego rodzaju instytucya „Bank Miłosierdzia" wystarczają chyba zupełnie potrzebom ubogiej ludności.

Prywatny zakład zastawniczy jest zbędny w naszem mieście! Powtarzamy to z naciskiem zwłaszcza wobec pogłosek, że został świeży konsens tego rodzaju udzielony p. Józefowi Hopcasowi, współredaktorowi „Czasu". właścicielowi księgarni, właścicielowi Biura dzienników, dzierżawcy wszystkich księgarń kolejowych w obrębie krakowskiej dyrekcyi kolei państwowych, który mając już tyle najróżnorodniejszych interesów na głowie, nie będzie chyba mógł znaleźć dość czasu, aby dozorować instytucyi, gdzie każdemu trzeba patrzyć na ręce!...



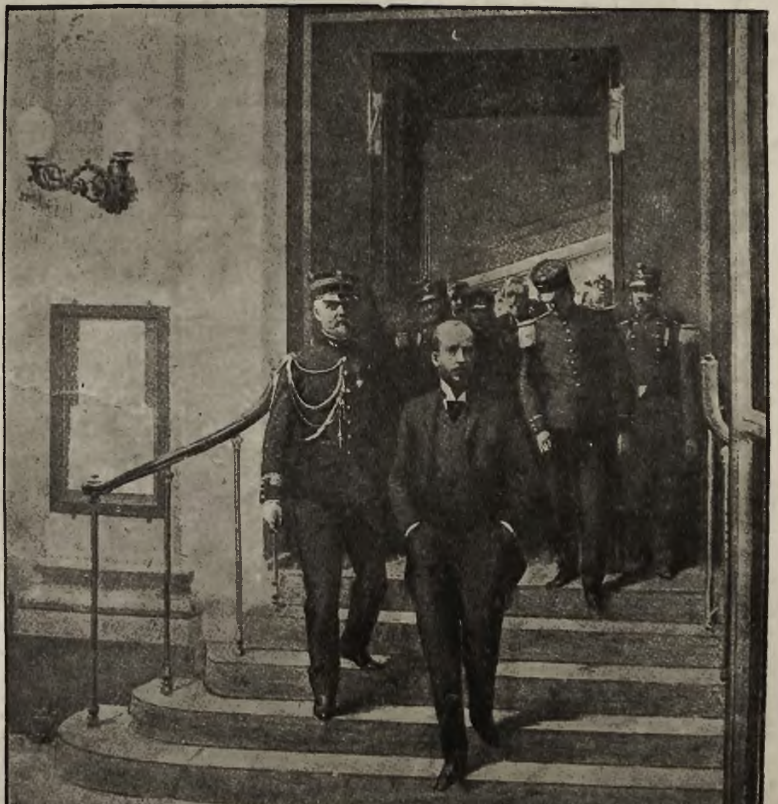
Angelus et Comp. Przyaresztowany Włodzimierz Angelus dyrektor zakładu zastawniczego przy ul. Wiślnej.

Sprawa Syvetona.

Członek francuskiej Izby deputowanych, który uniesiony niepohamowaną namiętnością podczas obrad Izby, rzucił się na b. ministra wojny Andrégo i wymierzył mu kilka sążnistych policzków, drogo będzie musiał opłacić tę swoją porywczość!

Jeśli na miejscu nie został zlynchowany kułakami deputowanych, należących do stronnictw radykalnych i popierających obecny gabinet ministeryalny, to zawdzięcza tylko temu, że w pierwszej chwili zdołał się ukryć za plecami innych nacyonalistów i że na czas jeszcze wkroczyła do sali posiedzeń straż parlamentarna, która wyprowadziła go z Izby i wydaliła z gmachu.

Wzburzenie wśród posłów za ten napad na ministra było ogromne, a nawet sami stronnicy Syvetona potępiają tę jego zaciekłość i brak poszanowania dla spokoju i honoru Izby, którą chwilowo postępek taki zamienił w karczemną salę.



Sprawa Syvetona: Straż parlamentarna wyprowadza Syvetona z gmachu posiedzeń Izby deputowanych.



W obronie nauki: Zabudowania kliniczne na Łyczakowie.

I nic dziwnego! Przecież ten Syveton, który sam uważa się za bohatera, rzucił wobec całego świata tą brutalną, ordynarną napaścią cień niesławy nietylko na stronnictwo nacyonalistyczne, ale także na cały francuski parlament, do tej bowiem chwili nie było jeszcze wypadku, aby gdziekolwiek w sali obrad deputowany znieważył ministra!

Nawet we Włoszech, gdzie ścierają się tak krewkie temperamenty, nie zdarzyło się nic podobnego. Wspomnijmy tylko walki, które poprzedziły ustąpienie ministra Nasiego oskarżonego przed forum parlamentarnem o defraudacye. Chyba nigdy w parlamencie włoskim nie panowało takie wzburzenie umysłów jak wówczas, a jednak walczono tylko na słowa! Żaden z posłów nie zaatakował tego ministra.

W konstytucyjnych dziejach pierwszy Syveton fizyczną siłą zmusił ministra do ustąpienia ze stanowiska, ale też za to surowa spotka go kara, bo Izba deputowanych ogromną większością głosów uchwaliła wydać go w ręce sprawiedliwości.

I co zyskał Syveton, lub też jego stronnictwo na ustąpieniu ministra Andrègo. Nic! bo tylko to, że tekę po nim objął Maurycy Berteaux, o którym sam Andrè wyraził się, iż będzie godnym jego następcą, gdyż pójdzie tą samą ścieżką i kroczyć będzie do tego samego celu, do republikowania armii.

Syveton nie zyskał więc nic a nic stracił bardzo wiele. Wprawdzie pojedynku, na który z tego powodu wyzwał go porucznik artyleryi Andrè, syn ministra, uniknął skutkiem aresztowania, jakie zarządził nad nim sąd właśnie w tej chwili gdy zdążał już na miejsce orężnego spotkania, ale kto wie, czy ten krewki deputowany nie wolałby był raczej ze szpadą w ręku stanąć naprzeciw przeciwnika, niż zasiąść na ławie oskarżonych.

Wszak za ten czyn, za to znieważenie członka rządu wybranego wolą, czy też z woli z większości narodu, czeka go pewna kara, co najmniej dwóch lat więzienia, no a wyrok taki nie należy chyba do przyjemności.

Dziś Syveton pewnie żałuje w duchu tego „bohaterstwa“, z jakiem rzucił się na starego żołnierza, niespodziewającego się napadu, a że nie przyznaje się do tego i dalej się sławi tym postępkiem, nic dziwnego! Ludzie win swoich uznawać nie lubią!...

W obronie nauki.

Lwów, tak samo jak Kraków, był w ostatnich dniach widownią stanowczego protestu, jaki uniwersytecka młodzież podniosła w obronie cierpiącej ludzkości i nauki, której rząd chciał uszczuplić pomoc obowiązkowo należącą się jej od niego.

Mamy tu na myśli wrzenie, jakie wśród lwowskich i krakowskich medyków wywołała wieść, że rząd postanowił liczbę łóżek na klinikach obu uniwersytetów ograniczyć do minimum. Na wieść tę medycy krakowscy zwołali szereg wieców i powzięli uchwałę, aby na tę decyzyę rządu odpowiedzieć ogólnym strejkiem i powstrzymać się od uczęszczania na wykłady tak długo, aż rząd nie cofnie swego rozporządzenia i nie dostarczy niezbędnych finansowych środków do prowadzenia klinik w przeznaczonym im z góry zakresie, który zresztą i tak nie jest zbyt duży. Lwów nie pozostał w tyle, choć tameczny fakultet medyczny jest o wiele młodszy od krakowskiego. Lwowscy medycy stanęli także zwartym szeregiem, ramię przy ramieniu i powzięli takie same uchwały, co młodzież krakowska.

Nad obu klinikami zawisła groza strejku, zacnego i poczciwego, bo podjętego nie dla materyalnych jakichś celów, ale w obronie nauki.

Stanowcza postawa młodzieży, męskie, pełne hartu jej oświadczenie i zgoda, która cechowała ten ruch na obu uniwersytetach, odniosły pożądany skutek, zrobiły swoje.

Sprawą tą, to jest zarówno sprawą lwowskich jak i krakowskich klinik zajął się Wydział krajowy i rozpoczął pertraktacye z rządem, który, widząc, że wobec stanowczości młodzieży nic innego nie potrafi zażegnać strejku, jak tylko spełnienie jej całkiem słusznych i głęboko uzasadnionych żądań, okazał się skłonnym do... ustępstw i przyrzekł w najbliższej przyszłości dostarczyć funduszów, potrzebnych do prowadzenia klinik lwowskich i krakowskich, bez żadnych ograniczeń.

Młodzież zwyciężyła, strejk został zażegnany, ale nie zupełnie jeszcze, gdyby bowiem do Bożego Narodzenia nie znalazły się owe przyrzeczone przez rząd fundusze, medycy obu uniwersytetów walkę podejmą dalej, a raczej, nie wdając się już w żadne pertraktacye i petycye, rozpoczną strejk, uważając ten sposób postępowania za jedyną drogę, na której mogą zmusić rząd do macierzyńskiego, a nie macoszego traktowania polskiej nauki.

Gdy zresztą wspomnimy tylko, ilu to ludzi złożonych chorobą przychodzi na klinikach pod tkliwą pieczą młodzieży naszej do zdrowia, a ilu pieczy tej musiałoby się wyrzec, z powodu systemu oszczędnościowego, jaki rząd chciał zastosować do naszych klinik, to każdy zrozumie, że wdzięczność należy się lwowskim i krakowskim medykom za obronę tych ognisk nauki, gdzie cierpiąca uboga ludzkość znajduje pomoc w chorobach i tak pożądane dla każdego zdrowie.



W obronie nauki: Budynek anatomii, fizyologii i histologii we Lwowie przy ulicy Piekarskiej.

Tron hiszpański.

Jednym z najstarszych, a w ostatnich czasach i jednym z niepewniejszych tronów — jest tron hiszpański. Ileż burz i wichrów wstrząsnęło jego podwalinami! Intrygi dworskie i rewolucye uliczne, przegrywane wojny, utrata kolonii morskich, nieszczęścia rodzinne, wszystko złe jak grom za gromem waliło w stary dom Burbonów, którego najmłodszy, a zarazem i jedyny potomek męski król Alfons XIII. zasiada obecnie na tronie.

Całe jego imię brzmi: Alfons, Leon, Ferdynand, Maria, Jakób, Izydor, Paskal, Antoni. Tytułów posiada znacznie więcej niż imion; figuruje jako król, książę, hrabia i „pan.“ Połowa tych tytułów i godności egzystuje na papierze tylko, służy dla ozdoby i zaokrąglania długiej litanii urojonych godności.



Niepożądany podarunek cesarski: Pomnik Fryderyka Wielkiego w Waszyngtonie. (Treść na str. 11).

Niejeden naprzykład się zdumieje, dowiedziawszy się, że królewska katolicka Mość Król Alfons XIII. jest zarazem królem Jerozolimy, choć wiemy dobrze, że Ziemia święta jest pod panowaniem tureckiem. Jest on również królem Sycylii, Gibraltaru, a nawet Indyi przed i zagangesowych, podczas gdy Sycylia należy *de facto* do Włoch, Gibraltar do Anglii, która również od wieków jest panią Indyi. Obecny król jest synem Alfonsa XII. Urodził się w r. 1886 i jako Alfons XIII wstąpił na tron w r. 1902.

Młodociany król, jest ożywiony jak najlepszymi chęciami względem narodu i poddanych. — Przyszłość niedaleka pokaże, czy sprosta ciężkim i odpowiedzialnym obowiązkom panującego.

Obowiązki regentki spełniała za małoletniego Alfonsa — matka jego królowa-wdowa Marya Krystyna, arcyksiężniczka austryacka, urodzona w r. 1858. Od czasu objęcia rządów przez syna usunęła się sędziwa królowa w domowe zacisze. Pomimo tego jednak wywiera znaczny wpływ na politykę, przez syna swego, który daje się matce sobą powodować.

Ex-królowa nie nadużywa zresztą ani stanowiska ani wpływu swego u króla. Pragnie ona

podobnie jak jej syn szczęścia i spokoju dla skołatanej Hiszpanii. Czy jednak pobożne ich życzenia się spełnią to jeszcze wielkie pytanie. Wichrzenia stronnictw rewolucyjnych zwłaszcza zaś Karlistów, bieda materyalna i ciemnota niedobrymi są sprzymierzeńcami młodziutkiego króla i jego matki.

Ostatni zamach, którego widownią była Barcelona, wskazuje dowodnie na to, że wśród ludności wre i burzy się i że fermenty społeczne mogą lada chwila do katastrofy doprowadzić.

O prywatnem życiu i stosunkach dworu, krążą tysiączne opowieści i anegdoty uwydatniające miłość i zgodę, panującą w królewskiej rodzinie. Rodzina ta składa się obecnie z matki, króla Alfonsa i młodszej od niego infantki Maryi Teresy.

Starsza od króla infantka Marya Mercedes zmarła przed miesiącem.

Król Alfons kocha swą matkę, jest dobrym i posłusznym synem. Żyje prawie wyłącznie w kółku rodzinnem rzadko udzielając się towarzystwu. Jedyną jego pasyą jest myśliwstwo i młody król słynie w całym kraju jako jeden z najpierwszych strzelców i jeźdźców.



Tron hiszpański: Królowa wdowa Marya Krystyna, matka obecnego króla hiszpańskiego.



Tron hiszpański: Alfons XIII. obecny król hiszpański.

Nowi wiceprezesi.



Fot. E. Trzemeski. Lwów.
Nowi wiceprezesi: Dawid Abrahamowicz pierwszy wiceprezes Koła polskiego.



Fot. Z. Klaften. Lwów.
Nowi wiceprezesi: Adwokat dr. Władysław Dulęba drugi wiceprezes Koła polskiego.

Wiceprezesami Koła polskiego obrani zostali, jak wiadomo, pp. Dawid Abrahamowicz i dr. Władysław Dulęba.

Pierwszy z nich — a zarazem pierwszy wiceprezes, to jedna z najwybitniejszych a z pewnością najoryginalniejszych figur parlamentu austryackiego. Już sama fizyonomia, pozbawiona kompletnie zarostu, o charakterystycznych wschodnich rysach — wskazuje na wschodnie pochodzenie pierwszego wice-regimentarza. Istotnie: Dawid Abrahamowicz pochodzi ze starej szlacheckiej tatarsko-ormiańskiej rodziny, a jako nieodrodny syn wschodu, zachował również wszelkie duchowe cechy swego szczepu. Wymowny, umie dobierać pięknych porównań i obrazowań. Zacięty i uparty, broni swego zdania, jednak bez gwałtownych wybuchów, cechujących parlamentarzystów ostatniej doby.

Umie za to znakomicie szermować ironią i sarkazmem — ową najniebezpieczniejszą bronią... ludzi dobrze wychowanych. Wybitne zdolności parlamentarne, które przez szereg lat pracy w Wiedniu nabył, zjednały mu wśród kolegów i w prezydyum zaufanie i uznanie. To też w ciężkich paroksyzmach, jakie coraz częściej parlament nasz przeżywa, powoływany bywa Dawid Abrahamowicz. Miarę jego popularności dostatecznie wyjaśnia fakt, że on Polak interweniował w zatargu Niemców z Węgrami.

Drugi wiceprezes dr. Władysław Dulęba, poseł do parlamentu z Tarnopola, jest z zawodu prawnikiem i jednym z najzdolniejszych adwokatów we Lwowie.

Podczas gdy większa część jego rodziny poświęciła się karyerze artystycznej, trzeźwy i chłodny umysł Władysława szukał innych dróg: zapisał się na wydział prawny i w krótkim stosunkowo czasie zabłysł jako jedna z pierwszych gwiazd na horyzoncie polskiej palestry.

Jest to człowiek wytwornych manier i ogłady towarzyskiej, sympatycznego wejrzenia i dobrej wymowy.

A oprócz tego jest to polityk wielkich zdolności! Umie on łączyć partyę konserwatywną z postępową demokracyą, umie przez obustronne ustępstwa utrzymywać między oboma stronnictwami ład i harmonię, które są pierwszą podstawą wydatnej pracy parlamentarnej.

Jeśli na tym punkcie, jako poseł, położył znaczne zasługi, to z pewnością, jako jeden z kierowników Koła jeszcze lepiej potrafi utrzymać tę zgodę i tem samem ułatwić wydatną pracę.

Ogółem całe prezydyum Koła polskiego prezentuje się godnie, i w obecnym składzie — na czele z nowym swym regimentarzem Dzieduszyckim — może z wielką wydajnością pracować w reprezentacyi — dla kraju.

Nowy poseł lwowski.



Fot. Mazur. Lwów.
Nowy poseł lwowski: Dr. Godzimir Małachowski poseł lwowskiej Izby handlowej do Rady państwa.

Kilkanaście lat wstecz nikt we Lwowie, a nawet sam dr. Godzimir Małachowski, mimo swych ambitnych marzeń i chęci służenia krajowi, nie sądził, aby polityczna jego karyera tak szybko przeszła różne szczeble i wreszcie zawarowała mu *panem bene merentium* w parlamencie.

Wybitny znawca prawa cywilnego i w tym kierunku jeden z najlepszych adwokatów lwowskich, dr. Godzimir Małachowski długi czas piastował godność syndyka galicyjskiej Kasy Oszczędności, a skrupulatność, z jaką zajmował się interesami Kasy, powierzonymi jego pieczy była przyczyną, że mieszczaństwo lwowskie po ustąpieniu prezydenta Mochnackiego, ozdobiło szyję jego łańcuchem prezydenckim, i w jego dłonie złożyło ster rządów miasta, powierzając mu następnie mandat poselski do sejmu.

Jak każdy człowiek, biorący udział w polityce, tak i dr. Małachowski na stanowisku tem pozyskał sobie licznych przyjaciół, ale i nieprzyjaciół także. Że jednak wrogów falanga i liczbą i wpływami jest mniejsza, najlepszym dowodem są ostatnie wybory posła z izby handlowej lwowskiej do parlamentu w miejsce bł. pamięci Piepesa-Poratyńskiego. Dwudziestu pięciu głosami oddano mandat poselski drowi Małachowskiemu który — jak donoszą ze Lwowa — aż do końca swego sześciolecia burmistrzowskiego zamierza wziąć urlop i rządy miasta powierzyć pierwszemu wiceprezydentowi Michałowi Michalskiemu, a następnie nie ubiegać się już wcale o prezydalny fotel, lecz siły swe poświęcić parlamentarnej pracy.

Politycy lwowscy przewidują, że miejsce dra Małachowskiego zajmie obecny pierwszy wiceprezydent miasta Michał Michalski, fabrykant powozów. Trudno twierdzić, czy miasto straci, czy zyska na tej zmianie, bo dotychczas zastępcze rządy p. Michalskiego nie wykazały wcale jego zdolności.



Zaręczyny księcia heskiego: Eleonora, księżniczka Solm-Hohensolm-Lich, narzeczona w. księcia heskiego.

Orkiestra studencka gimnazyum św. Anny w Krakowie.

Życie młodzieży, zwłaszcza tej, co tworzy następne pokolenie, które kiedyś po nas pracować będzie nad dobrem kraju, powinno interesować wszystkich. Wszak każde drgnienie wśród naszej młodzieży, każdy ruch wśród niej, zdążający do jakiegoś szlachetnego celu, do pracy, którą uważa za wypoczynek po trudach szkolnych i którą przekłada nad bezmyślną gnuśność, lub pustą zabawę, dowodzi, że budzi się w niej chęć czynu, że kształci się w niej charakter zdolny nawet w wolnych chwilach szukać tylko pożytecznych i kształcących umysł rozrywek.

To też przyjaznem okiem spoglądamy na młodzież, ćwiczącą się w Parku Jordana i krzepiącą swe ciała gimnastyką; to też z przyjemnością przysłuchujemy się dźwiękom studenckich orkiestr, przeciągających ulicami miasta. „Muzyka łagodzi obyczaje“, powiedział któryś ze starożytnych filozofów. My powiedzielibyśmy więcej — oto że muzyka kształci serce i umysł, uszlachetnia, wpaja w duszę poczucie piękna i dlatego z taką radością witamy wśród naszej młodzieży tę skłonność do muzyki, która w naszem mieście objawiła się stworzeniem orkiestr gimnazyalnych.

Ze studenckich orkiestr najstarszą jest orkiestra gimnazyum św. Anny. Założona jeszcze w roku 1898 przez profesora Paczosę. dzięki wpływom i staraniu tego pedagoga, rozwijała się nader szybko i była wzorem dla młodszych swych koleżanek. Niedługo jednak profesor Paczosa mógł otaczać ją swoją opieką, bo za ważniejszy obowiązek uważał kształcenie polskiej młodzieży na kresach i przeniósł się do Cieszyna, powierzając starania nad powołaną przez siebie do życia orkiestrą profesorowi Gąsiorowskiemu.

Ten z niemniejszą pieczołowitością zajął się nią i nie szczędził trudów, ani też materyalnej pomocy, byleby tylko zapewnić jej stały rozwój, a następca jego profesor Bronisław Szuba, który w roku 1902 objął ster rządów tej orkiestry, położył także nie małe zasługi, zwłaszcza koło wzbogacenia orkiestry w potrzebne instrumenty, na co zebrał fundusze drogą składek od grona nauczycielskiego i wychowanków zakładu.

Dziś nadzór i kierownictwo orkiestry spoczywa w rękach profesora Pardyaka, który do pomocy przybrał sobie jeszcze profesora Leśniaka. Obaj pedagodzy wstępują w ślady swych poprzedników i jak tamci gorąco troszczą się o to, aby orkiestra i nadal była tak lubioną i cenioną w mieście, jak do tej pory.

Że zaś orkiestra gimnazyum św. Anny cieszy się w mieście taką sympatyą, to każdy zrozumie, gdy wspomnimy, iż bierze ona żywy udział we wszystkich obchodach i świętach narodowych, zwiastując je mieszkańcom wczesną ranną pobudką, którą odgrywa przeciągając ulicami. Pamiętny chyba jest także udział jej w uroczystości, jaka odbyła się z powodu odsłonięcia pomnika Artura Grottgera na Plantach, i w obchodzie jubileuszowym w parku Jordana, podczas którego przygrywała ochoczo, budząc ogólny podziw wśród uczestników tej uroczystości.

Podając podobiznę trzydziestu pięciu członków tej orkiestry wraz z opiekującymi się nią profesorami, wyrażamy nadzieję, że dalszy rozwój młodocianej tej garstki nie napotka na żadne trudności, że orkiestra ta wsparta sympatyą i poparciem ze strony ogółu mieszkańców naszego grodu, dojdzie z czasem do najwyższego szczebla doskonałości i utrzyma się na nim tak długo, jak długo istnieć będzie gimnazyum św. Anny — a zatem wieki!...



Zaręczyny wielkiego księcia heskiego: Ernest Ludwik wielki książę heski.

Zaręczyny wielkiego księcia heskiego.

Niezliczona ilość księstw i księstewek Rzeszy niemieckiej — wyradza najrozmaitsze antagonizmy i konflikty między „panującymi“ — a nawet w stosunku do ich głowy: cesarza niemieckiego. Cesarz Wilhelm II. nie grzeszy wcale poczuciem taktu ani sprytem politycznym. Wystąpienia jego urzędowe, półurzędowe i prywatne, są zawsze nacechowane butą, nietolerancyą — i niegrzecznością. W stosunku do książąt Rzeszy uzurpuje sobie cesarz niemiecki prawa mieszania się w ich sprawy krajowe a nawet familijne, co oczywiście ani miłem, ani pożądanem dla dotyczących być nie może.

Znanym i głośnym był niedawny zatarg Wilhelma z panującą rodziną w Lippe — o następstwo tronu. Mieszanie się w nieswoje rzeczy — nie wychodzi jednak na zdrowie cesarzowi: nadwątla swoją powagę, ośmiesza się niepotrzebnie i powoduje ustawicznie zaostrzanie się ich stosunku do dworu berlińskiego — a w rezultacie przyczynia się bezpośrednio do solidarności księstw Rzeszy.

W własnym dobrze zrozumiałym interesie, łączą się oni w opozycyjne zbiorowe ciało, by nie dać „zjeść się w kaszy“ berlińskiemu satrapie.

Solidarnością taką i wspólnością dążeń podtrzymują i utwierdzają przedewszystkiem związki mał-



Fot. Kryjak. Kraków.

Orkiestra studencka gimnazyum św. Anny w Krakowie: Członkowie orkiestry z profesorami Pardyakiem, Leśniakiem i kapelmistrzem Fuchse.



Pożar w kopalni nafty: Ogólny widok Borysławia. Fot. W. Russ. Drohobycz.

żeńskie, zawierane pomiędzy domami panujących książąt Rzeszy.

Niedawno doniosły dzienniki o zaręczynach W. ks. heskiego z księżną Solm-Hohensolms-Lich. Przypatrzmy się bliżej tej książęcej parze.

W. ks. Ernest Ludwik urodził się w r. 1868, ma zatem 36 lat obecnie. Był on jedynym synem W. ks. Ludwika IV. i W. ks. Alicyi. Sióstr miał cztery, które już oddawna są wydane. I tak: Wiktorya w r. 1884 wydaną została za ks. Ludwika Battenberskiego, w tymże samym roku poślubił Elżbietę W. ks. rosyjski Sergiusz, Irena jest za ks. Henrykiem pruskim, a wreszcie Alicya jest żoną obecnego cara rosyjskiego,

Ernest Ludwik wstąpił na tron w r. 1894 po ojcu swoim, w dwa lata później zaręczył się z młodziutką 17-letnią księżniczką Sachsen-Koburg-Gotha. Małżeństwo to nie było szczęśliwem i pomimo postronnych usiłowań — małżonkowie rozeszli się.

Mała córeczka, była jedyną pociechą ojca — niestety! — nie długo trwało ojcowskie jego szczęście: 16 października podczas odwiedzin u cara w Skierniewicach — zmarła nagle mała księżniczka Elżbieta, wskutek zakażenia krwi, po spożyciu nieświeżej ostrygi.

Niefortunny mąż i nieszczęśliwy ojciec — postanowił po tym ciosie — odbudować na nowo dom swój. Tego wymaga serce samotnika, a przedewszystkiem wymagają tego względy dynastyczne.

Książę Ernest Ludwik zaręczył się tymi dniami z księżną Eleonorą Solms-Hohensolms-Lich, urodzoną w r. 1871. Nie jest ona pierwszej młodości, ani urodą zbyt nie grzeszy — ma być jednak gospodarna, oszczędna i bardzo przyzwoita panienka. Książę uczynił dobry wybór i z pewnością żałował go nie będzie. Księżna otrzymała zupełnie średnie wykształcenie i nie odznacza się zgoła żadnemi wyższemi zaletami umysłu, jest ona jednak pierwszą miłością księcia -- z studenckich czasów jeszcze. Małżeństwo to ma dla poddanych pewną doniosłość. Dwór heski. który dotychczas był zupełnie zanglizowany — odzyska swój niemiecki charakter, gdy przy boku księcia na tronie, zasiędzie niemiecka księżniczka.

Pożar kopalni nafty.

Jednem z najniebezpieczniejszych, chociaż najbardziej popłatnych przedsiębiorstw kopalnianych — to eksploatacya terenów naftowych.

Mienie milionerów-właścicieli złotodajnych przestrzeni — i życie nędzarzy-robotników, wydobywających ropę z ziemi — są w ustawicznem niebezpieczeństwie. Lada najdrobniejsza nieostrożność lub brak uwagi w obchodzeniu się ze światłem — wywołuje straszne katastrofy pożarowe, tem straszniejsze, gdy uprzytomnimy sobie, że materyałem jest nafta, że przy eksploatacyi jej wydobywają się ponadto i tworzą łatwo zapalne gazy, które za zetknięciem się z nimi najmniejszej iskierki lub za minimalnem podniesieniem się temperatury, powodują katastrofy wybuchowe, niszczące mienie właścicieli, kosztowne i mozolne urządzenia kopalniane i wiertnicze, a co najważniejsza pociągają za sobą ofiary w życiu ludzkiem i to ludzi najuboższych i najnieszczęśliwszych — bo pracujących pod ciągłą grozą żywiołowej katastrofy.

Bogatych terenów naftowych nie brak na świe-



Fot. W. Russ. Drohobycz.
Pożar kopalni nafty: Szyb wybuchowy w kopalniach nafty w Borysławiu.



Fot. W. Russ. Drohobycz.
Pożar kopalni nafty: Pożar szybu Nr. 24 w Borysławiu, własność „Syndykatu borysławskiego."



Fot. Buxdorf. Brody.
Dezerterzy rosyjscy w Brodach: Transport emigrantów rosyjskich, konwojowany przez strażnika skarbowego z pasu granicznego do starostwa w Brodach.

cie. W Europie znajdują się w okolicach Brunszwiku, pod Parmą, w Owernii. Ślady oleju skalnego znaleziono również w Królestwie Polskiem, w gubernii Kieleckiej.

Najbogatsze tereny ropodajne posiada Ameryka (Pensylwania, Ohio, Kentucky). Drugie miejsce, co do wydajności produktu, zajmuje Kaukaz, zwłaszcza zaś niezmiernie bogate pokłady naftowe w Baku i okolicy. Wschodnia Galicya, gdzie źródła naftowe ciągną się wzdłuż stoków Karpat, zajmuje trzecią w świecie pozycyę. Aczkolwiek do niedawna jeszcze wadliwą i po dyletancku była tam eksploatacya prowadzoną — dzisiaj w okolicach Borysławia i w Schodnicy koncentruje się ożywiony ruch kopalniany. Wielkie spółki zagraniczne amerykańskie i angielskie ujęły w swe ręce kierownictwo tego ruchu, aczkolwiek nie brak i krajowych sił i kapitałów zaangażowanych tu „w naftę“.

Sam Borysław jest to jedno z małych typowych wschodnio-galicyjskich miasteczek, zamieszkałych przeważnie przez żydowską i górniczą ludność. Leży w powiecie drohobyckim nad rzeką Tyśmienicą i liczy około 3000 mieszkańców. Nafta dobywa się tu z wielu setek drewnianych szybów, wierconych do niewielkiej głębokości 40 metrów. Produkcya wynosi wzwyż 5 milionów nafty i około $2^1/_2$ miliona kg. wosku ziemnego.

Na tych terenach zdarzają się też częste katastrofy i wypadki.

Ubiegłego roku n. p. były Schodnica i Borysław widownią ciągłych pożarów i wybuchów. W tym roku również nieszczęścia żywiołowe nawiedzały tę ziemię, „ubłogosławioną bogactwem swego łanu“.

Do ostatnich wypadków należy ostatni pożar szybu, oznaczonego Nr. 24 w Borysławiu, a należącego do borysławskiego syndykatu. Odznaczał on się wyjątkową głębokością, bo sięgającą do głębokości 90 metrów. Szyb ten leży na Ratoszynie, w pobliżu wielkiego rezerwoaru. Przyczyną nie była — jak zazwyczaj — nieostrożność lub lekkomyślność w obchodzeniu się z światłem, ile raczej wadliwie urządzone, czy też chwilowo popsute oświetlenie *elektryczne*. Przy zakładaniu elektrycznej lampki, wydostała się na zewnątrz iskra elektryczna i ta spowodowała zapalenie gazów.

Pożar objął momentalnie rzeczony szyb, lecz na szczęście nie rozszerzył się na sąsiednie „wieże“. Ogień szalał przez kilka godzin, poczem udało go się szczęśliwie stłumić. Przy katastrofie odniosło tylko dwóch robotników nieznaczne poparzenia rąk — szkody materyalne są jednak dość znaczne.

Ryciny nasze przedstawiają widok ogólny miasteczka Borysławia, majestatyczny i pełen grozy obraz ostatniego pożaru i wybuchowy szyb, jeden z wielu tych, które wyrzucają wysokim strumieniem naftę na powierzchnię ziemi.

Dezerterzy rosyjscy w Brodach.

Ustała wreszcie nagonka na dezerterów rosyjskich, którzy przemykali się przez granicę brodzką, aby uniknąć podróży na daleki Wschód, gdzie czekały ich rany, albo śmierć w boju, a ustała dzięki rozporządzeniu p. Namiestnika i dziś rosyjscy dezerterzy mogą być pewni, że nie dostaną się napowrót w ręce władz rosyjskich. Co prawda, nie wolno im osiedlać się w pogranicznem terytoryum, ale nikt nie broni im przebywać czas jakiś w Brodach, póki nie uregulują swych interesów i nie ruszą w dalszą wędrówkę.

Wszyscy ci emigranci zdążają za ocean, aby tam zdala od wojny i prześladowań nowe rozpocząć życie.

Stosunki na pogranicznym pasie brodzkim poprawiły się więc znacznie dla emigrantów rosyjskich, ale nie należą znów wcale do tak idyllicznych, jakby się zdawało, nie brak bowiem niepowołanych osób, które chcąc okazać swą władzę i potęgę wobec tych bezdomnych i nieszczęśliwych tułaczy, „zapominają“ o okólniku, jakie wydało namiestnictwo, i szeregiem drobnych sekatur zaznaczają swe istnienie.

Oto już po raz drugi starostwo nasze otrzymuje z granicy transport emigrantów, konwojowany przez... o! nie przez żandarma, lecz przez — strażnika skarbowego, który pewnie nie na własną rękę schodzi z posterunku i zabawia się w eskortowanie ludzi niewinnych, mających, o ile to jest w takim razie możliwem, wszystkie papiery w porządku!...

Nie trudno też sobie wyobrazić, jakie tłumy pauprów i różnej gawiedzi asystują takim kalwakatom, zdążającym w południowych godzinach przez całe miasto aż do gmachu starostwa. Z obecności strażnika skarbowego każdy wnosi, że „zbrodniarzy“ aresztowano za przemytnictwo i każdy ciśnie się, byleby tylko „na własne oczy“ zobaczyć „szwarcowników“. Można też sobie wyobrazić, jakie uczucia strachu i obawy przechodzą przez duszę tych bieduych emigrantów, niepewnych, czy też nie wydadzą ich w ręce władz rosyjskich.

Uznanie jednak należy się staroście brodzkiemu hr. Russockiemu, który nie tylko, że nie przykłada ręki do takich sekatur, ale przeciwnie zaraz po doprowadzeniu takich „zbrodniarzy“ do starostwa, natychmiast wypuszcza ich na wolność i oddaje pod opiekę komitetu, aby nie wpadli w ręce wyzyskiwaczy, zwanych „ajentami emigracyjnymi“. Ajentów tych namnożyło się jak grzybów po deszczu i zatoczyliby oni tutaj zapewne szeroko swe sieci, gdyby nie komitet, który opiekuje się wychodźcami i paraliżuje lichwiarskie zakusy tych panów, spełniając w ten sposób zacny obywatelski uczynek wobec braci z pod rosyjskiego zaboru.

Załączona do niniejszego artykułu illustracya przedstawia właśnie jeden z takich transportów, które nadeszły z granicznego pasu do starostwa brodzkiego pod eskortą strażnika skarbowego.

Wspierajmy przemysł krajowy!

„Wspierajmy przemysł krajowy“! — Pod tym hasłem powstała i z tą dewizą na ustach rozpoczęła swą działalność galicyjska „Liga przemysłowa“, a wysłannicy jej słusznie zwani apostołami uprzemysłowienia, wzdłuż i wszerz przebiegają całą krainę naszą wzywając społeczeństwo, aby potrzeby swe zaopatrywało w kraju u krajowych fabryk, miast grosz—z którego mogłyby korzystać szeregi naszych robotników, żyjących bez pracy w tak strasznej nędzy—wysyłać za granicę.

Ta zbożna praca „Ligi przemysłowej“ i jej wysłanników powoli zaczyna wydawać owoce. Społeczeństwo nasze ocknęło się już z tej apatyi, z jaką spoglądało dawniej na przemysł krajowy i dzięki Bogu nastąpił wreszcie zwrot w naszym sposobie myślenia, znikło przekonanie, że wszystko, co jest krajowym wyrobem, niedorównywa swą dobrocią zagranicznym wytworom! Ba, co więcej zrozumieliśmy nareszcie, że zagranica zalewała nas tandetą, w stosunku do tej lichoty, jaką nam dostarczała i brała nader wygórowane ceny. Dziś na-



Fot. Buxdorf. Brody.
Wspierajmy przemysł krajowy: Rezerwoar o pojemności sześć tysięcy litrów wzniesiony przez fabrykę sanocką.

wet mamy przykłady, że przedsiębiorcy, którzy zwykle niechętnie ponoszą znaczniejsze wydatki, wolą korzystać z krajowych źródeł i mimo znaczniejszych kosztów u krajowych fabrykantów, wolą zaspakajać swoje potrzeby w kraju, niż za tańsze pieniądze sprowadzać niemiecką tandetę.

Nie wypowiadamy tego zdania, nie stwierdzając go dowodem.

Oto firma braci Kapeluszów w Brodach zapotrzebowała rezerwoaru żelaznej konstrukcyi o pojemności sześć tysięcy litrów, a wysokiego na dziesięć metrów. Zagraniczne fabryki, zwłaszcza niemieckie uwiadomione o tem przez swych faktorów nasłały brodzkiej fimie cały szereg swych zastępców z ofertami i kosztorysami, z których jeden był tańszy od drugiego. Do konkursu o tę robotę stanęła także krajowa fabryka sanocka i mimo, że oferta jej nie była najniższą, bracia Kapelusze powierzyli jej wykonanie rezerwoaru.

Dwadzieścia tysięcy koron pozostało w kraju, zamiast wpaść do pruskiej kieszeni, a fabryka sanocka wywiązała się z podjętego zadania ku zupełnemu zadowoleniu zamawiających i nadzwyczaj punktualnie, zaś inżynier-chemik p. Rzeczycki, który tę robotę badał z ramienia rządu zanim wydano pozwolenie na używanie jej, nie mógł znaleźć słów uznania dla wykonawców.

Jak widać z tego nasi fabrykanci i przedsiębiorcy bez szkody, ale owszem z pożytkiem dla siebie mogą hołdować zasadzie „wspierajmy przemysł krajowy“, żądając naturalnie nawzajem, aby społeczeństwo w stosunku do nich o tej zasadzie nie zapominało.



Fot. Janusz. Rzeszów.

Drugie gimnazyum w Rzeszowie: Uroczystość poświęcenia drugiego gimnazyum rzeszowskiego.

Drugie gimnazyum w Rzeszowie.

Lepiej się dziś jakoś dzieje! Zwolna wreszcie ubogi nasz kraj, słusznie zwany krajem analfabetów, zaczyna zyskiwać coraz to więcej szkół, coraz bardziej troszczy się o wykształcenie młodzieży, pojmując dobrze, iż od niej, od jej wiedzy i zrozumienia obowiązków zależy przyszłość tej ziemi. Ten objaw cieszy nas tak samo, jak i każdy krok na drodze do uprzemysłowienia, gdyż to są jedynie dwie główne ścieżyny, które prowadzą do lepszej przyszłości, to jest ta broń, co da nam możność wyprzeć z granic naszego kraju straszną, rozpanoszającą się już wszechwładnie nędzę, zmuszającą całe tłumy naszych wieśniaków albo do emigracyi za ocean, albo do szukania zarobku u pruskich prześladowców...

W szeregu miast, które w bieżącym roku wzbogaciły się nowymi szkołami, stanął także Rzeszów, gdzie dzięki zabiegom Rady szkolnej krajowej. wzniesiono nowe drugie gimnazyum i dnia 23 listopada oddano do użytku publicznego.

Na uroczystość tę przybył J. Eminencya ksiądz biskup Pelczar z Przemyśla, namiestnik hr. Andrzej Potocki i wiceprezydent Rady szkolnej krajowej p. Edwin Płażek.

Aktu poświęcenia w asystencyi katechetów gimnazyalnych i kleru rzeszowskiego dokonał sam ksiądz biskup, który, po odśpiewaniu przez chór młodzieży specyalnie na tę uroczystość napisanej kantaty, przemówił do zebranych, wzywając ich do pilnej pracy i pielęgnowania tradycyj narodowych, opartych na zasadach wiary. Z kolei wygłosił mowę p. namiestnik, który wyraził niepłonną nadzieję, że nowe gimnazym, przy staraniach grona profesorskiego, przy pilności uczniów, stanie się niebawem tem nowem ogniskiem oświaty, co przysporzy krajowi dzielnych obywateli, pojmujących i spełniających sumiennie swe obowiązki.

Po przemowie tych dwóch obywateli zabrał głos p. Nogaj, dyrektor I. gimnazyum rzeszowskiego, a następnie p. Warmski, dyrektor nowego gimnazyum. P. Warmski w podniosłych słowach podziękował Radzie szkolnej za stworzenie tego nowego posterunku wiedzy i oświaty, a następnie, zwracając się do grona profesorów i do młodzieży, wezwał ich do zgodnej, łącznej pracy, którąby chlubą i sławą okryła nowy zakład.

Na tem skończyła się uroczystość otwarcia nowego gmachu drugiego gimnazyum w Rzeszowie.

Niepożądany podarunek cesarski.

Na wolnej ziemi Amerykanów, w ojczyźnie wielkiego bojownika wolności, Waszyngtona—stanął pomnik jednego z największych tyranów, jacy kiedykolwiek zasiadali na tronie: pomnik Fryderyka Wielkiego.

Pomnik ten ofiarował w prezencie cesarz Wilhelm Amerykanom, wywdzięczając się im za serdeczne przyjęcie, jakiego z ich strony doznał brat cesarza, książę Henryk pruski.

Prezent ten był przyczyną chwilowego zamącenia stosunków doplomatycznych między Stanami Zjednoczonemi a Niemcami.

Amerykanie, jako wolny i wolnomyślny naród, nie chcieli w żaden sposób zgodzić się na to, by na ich ziemi paradował pomnik człowieka, który był najzagorzalszym wstecznikiem i wrogiem wolności. Poza tem jeszcze podejrzywali intencye ofiarodawcy. Przypuszczali — i nie bez pewnej racyi, że ów narzucony przez cesarza Wilhelma pomnik — nie ma na celu zrobienia wątpliwej zresztą przyjemności narodowi amerykańskiemu — domyśleli się natomiast, że cesarz Wilhelm chce dać tym pomnikiem do zrozumienia światu, że i Ameryka oddaje hołd wojennemu geniuszowi Niemiec, jakim bez kwestyi był Fryderyk Wielki — domyślali się dalej, że pomnik ten ma na celu dodanie ducha wszystkim Niemcom, przebywającym na obszarze Ameryki.

Takie komentowanie nie mogło oczywiście przychylnie usposobić narodu względem cesarza Wilhelma, narzucającego swój sposób myślenia Ameryce. Nieporozumienie, wywołane nietaktem ofiarodawcy, było nawet czas jakiś w stadyum ostrem. Na zgromadzeniach i meetingach, protestowano żywo przeciw przyjęciu pomnika. Wieści o tem doszły naturalnie i do Berlina, a poseł niemiecki w Waszyngtonie o mało dymisyą nie przypłacił cesarskiej zachcianki. Pomnik przetransportowano swojego czasu z Niemiec do Ameryki i ustawiono go w Waszyngtonie bez żadnych uroczystości poświęcenia i odsłonięcia.

Ale cesarz niemiecki nie mógł strawić tego, by dar jego lekceważono, by w pogardliwem milczeniu przyjęto jego ofiarę; cesarz Wilhelm bowiem, lubując się sam w reklamie, uroczystościach, mowach, okrzykach, pragnął, aby i w tym wypadku bez krzyku i huku się nie obeszło.

Długo jednak trwało, zanim powiodło się dyskretnym zabiegom dyplomacyi niemieckiej doprowadzić do uspokojenia wzburzonej opinii i uroczystego odsłonięcia pomnika.

Dnia 19 listopada b. r. nastąpiło w Waszyngtonie uroczyste odsłonięcie pomnika króla Fryderyka Wielkiego.

Prezydent Roosevelt i niemiecki poseł w Waszyngtonie, baron Speck v. Sternburg, wygłosili z tej okazyi odpowiednie przemówienia, a cesarz niemiecki telegrafował z powinszowaniem — słowem dyplomacya, czy upór niemiecki święciły znów tryumf.

Pomnik największego z tyranów stanął w Waszyngtonie, mieście noszącem imię bohatera, który razem z naszym Kościuszką i Puławskim walczył o wolność Ameryki!...



Fot. Janusz. Rzeszów.

Drugie gimnazyum w Rzeszowie: Gmach, w którym mieści się drugie gimnazyum rzeszowskie.

Wiarołomna żona.

WSPÓŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.

10 (Ciąg dalszy).

Jako długoletni sługa książęcy, przywykł Łukasz do gładkiego ułożenia a prostactwa, gburostwa nie widywał oddawna, więc go raziło, ile razy przypadkowo je spotkał. Nie dziw też, że go coś odepchnęło od prostackiego Ludwika, gdy go z nim Rózia poznała. Nie kleiła się też rozmowa; jakoś wszystkim trojgu zaczęło być nie swojsko. Aż wreszcie układny Łukasz, uważał to sobie za obowiązek podtrzymać rozmowę i odezwał się:

— Czy wolno mi spytać panny Rozalii, po co tu był pan marszałek Wurm?

— Domagał się listu księcia do mojej pani. Ja ten list mam; schowałam go dobrze, ale nie przyznawałam się do tego.

— Zdaje mi się, że panna Rozalia zbłądziła bardzo, odmawiając oddania listu panu marszałkowi.

— A pocóż go miałam dawać? Dopóki go mam u siebie, mogę każdej chwili stać się groźną i dla księcia i dla mojej pani i wyzyskać to wybornie zarówno dla siebie, jak i dla kogoś...

To rzekłszy, spojrzała filuternie, kokieteryjnie na Łukasza.

— Dziękuję, że pani o mnie myśli — ale jabym sądził panno Rozalio, że lepiej trzymać się marszałka i hrabianki. Oni oboje wywierają wpływ na starego księcia i na księżnę i znaczą u dworu stokroć więcej, niż następca tronu, który się kompromituje gonieniem za twoją panią.

— Chociażby i tak było, to przecież większa dla nas korzyść wtedy, gdy moja pani jest w łaskach u księcia. Gdyby się jej książę wyrzekł, zeszłaby na nic, mybyśmy z niej nic nie skorzystali, a maszałek i hrabianka nie potrzebowaliby nas do niczego. Ta miłość księcia do mej pani, może być dla nas kopalnią złota.

— Nie wiem, czy ten list księcia może służyć za kopalnię złota.

— Jest jeszcze coś innego — odezwał się Ludwik. Mam ja także sprawy z tą panią, że warte nie złota, ale brylantów. Jakby ta baba skapała na nic, to i po moich brylantach.

— Ej, cóż to takiego? — zapytał ciekawie Łukasz.

Tu Rózia głos zabrała i opowiedziała Łukaszowi pokrótce przygody swej pani, a potem dodała:

— Pan Łukasz nie potrzebuje wcale zrywać z marszałkiem i hrabianką. Trzeba zręcznie postępować z nimi, aby się nie domyślali, że Łukasz właściwie żarty z nich sobie stroi. Ale też zgrabnie trzeba nam pomódz do odszukania mojej pani. Gdy ją odszukamy i książę ją odzyska, wtedy zaczniemy urządzać ową kopalnię złota. Ale przedewszystkiem musi pan Łukasz powiedzieć, gdzie się moja pani znajduje.

— Ba, żebym to ja wiedział! Wszystko się zrobiło tak prędko, tak ostrożnie, że nikt nic dokładnie nie wie. A czy tak, czy owak, to przecież mnie się zdaje, że lepiej nie drażnić marszałka i hrabianki i dać spokój. Mnie się jakoś nie zdaje, żeby z tego, co tu słyszałem, dobyć można złoto. Nawet boję się, aby nie była jaka bieda, bo to zawsze wszystko na służbie się skrupi.

Ale Rózia tak przekonywająco mówiła, a jeszcze bardziej przekonywająco spozierała na Łukasza, że wreszcie przyrzekł dowiedzieć się, gdzie Klara przebywa i zawiadomić o tem księcia.

Łukasz wyszedł, a za nim wysunął się Ludwik i Rózia nie mogła mu już odebrać zabranego łańcucha.

Tygrysice.

W gęstym lesie szpilkowym, na skalistem wzgórzu, o kilka mil od stolicy, był stary zamek hrabiów na Landesbergu. Jedno skrzydło rozsypywało się już w gruzy, ale część znaczna trzymała się dobrze. Zamek był pusty, od wielu lat nikt w nim nie mieszkał, tylko kilka pokoi urządzono jako tako, aby w czasie polowania było gdzie spocząć, lub przenocować. Strzegł zamku dozorca, staruszek, zwany burgrabią. Od dziecka był w służbie hrabiów na Landesbergu, od dziecka przywykł do murów zamkowych, więc i rad był temu, gdy go tu hrabiowie zostawili, przeniósłszy siedzibę do modnego pałacu o kilka mil od starego zamczyska.

W starych wieżycach gnieździły się puhacze, dachy porastały zawianą przez wiatry krzewiną, zielsko spinało się na mury, las szumiał dokoła, a staremu nie było tu ani pusto, ani smutno, bo miał za towarzysza stare wspomnienia, wesołe echa przeszłości i wierną żonę Agatę.

Cicho też tam było zawsze, chyba że na polowanie zjechali panowie, zabawili dzień, dwa, niekiedy i trzy — ale nikt tu na stałe nie przybywał.

Raz, późną nocą, zajechała kareta, wysiadła z niej jakaś okazała pani i lokaje hrabiów na Landesbergu. Wprowadzili panią do owych pokoi, co były jako tako urządzone, burgrabiemu przywieźli rozkaz hrabianki, aby nieważył się nikomu nic mówić o tem, że owa pani tam mieszka. Prócz lokai, był też i kucharz na usługi owej pani, ale ona nie pokazywała się nigdzie, nie wychodziła, z zamku, a nawet ze swoich pokoi, które były zawsze na klucz pozamykane.

Dziwili się starzy, kiwali głowami, ale nie mówili nic o tem, nawet do siebie samych, bo tak hrabianka kazała.

A w owych pokojach zamknięta Klara wściekała się ze złości. Więziono ją. Jakiem prawem? Czyżby z rozkazu starego księcia? Czyżby książę Ferdynand o niej już zapomniał, już się jej wyrzekł? Daremnie chciała badać służbę. Lokaje na pytania nic zgoła nie odpowiadali, jeno strzegli ściśle uwięzionej.

Już od trzech dni przebywa tu Klara, od trzech dni szarpie nią gniew, rozpacz, to znowu podnieca ją nadzieja. Strasznie to dla niej, upokarzające. Chwilami chciałaby się zabić, to znowu ogarnia ją pragnienie zemsty. Wie dobrze, że to sprawa hrabianki i Wurma. Żeby hrabiankę zobaczyć, żeby też stanąć z nią oko w oko i sponiewierać ją słowem i znieważyć i tem nasycić zemstę.

Zmęczona tem kłębowaniem się kipiących myśli i uczuć, wyczerpana, upadła Klara na sofę, jakby omdlona i zapadła w sen gorączkowy. Snuły się jej obrazy senne, żywe, jak na jawie. To wesołe, to potworne. Książę ją przyciska do łona, zasypując pocałunkami; to znowu baletnica Elwira przysuwa się do niej powiewna, urocza i patrzy na nią szyderczo, a ona ją chce odepchnąć, ale w miejsce baletnicy zobaczyła szkielet, z bukietem w kościach. I ciemno się zrobiło, że nic nie widać, tylko z tej ciemnicy zaświeciły wstrętne oczy Ludwika i twarz jego zbójecka powiększa się, wyraźnieje, dotyka jej twarzy i wala ją śliną wyuzdanego pocałunku. To znowu Izabella stanęła nad nią, jakaś ponura, groźna, a z piersi jej spadała krew kroplami na twarz Klary. I wnet ukazała się jej kołyska i w niej synek jej malutki i słyszy, jak dziecko opowiada bajkę o księżniczce, którą książę wypędził ze swojego zamku. Judyta Landesberg smagała ją biczem i krwawiła jej ciało a potem rzuciła się hrabianka na szyję księcia Ferdynanda i szeptali oboje gorące słowa miłości, a na Klarę patrzyli z pogardą i szyderstwem.

Ten obraz senny był dla Klary najstraszniejszy i tak się go przeraziła, że zerwała się ze snu, przetarła oczy, rozejrzała po komnacie i krzyknęła przerażona, bo przed nią stała hrabianka Judyta Landesberg.

Judyta wszedłszy do komnaty i zobaczywszy Klarę śpiącą, pastwiła się widokiem swojej ofiary, uśmiechnięta demonicznie, tryumfująco, groźnie.

Gdy ją Klara, zbudzona nagle ze snu, spostrzegła i przerażona krzyknęła, Judyta stała wyprostowana, dumna, rozkazująca. Wpatrywała się w Klarę tym wzrokiem, który zabija, jak sztylet, a znieważa, jak największa obelga.

Klara opamiętała się, ocknęła. Chwilę stała niema; nie mogła dobyć z siebie żadnego słowa; piers jej dyszała, zęby się ścinały, zaciskały pięście, w duszy zakipiało piekło namiętnej nienawiści. Zamiast mówić, miotała płomienie wściekłości z oka. I stały naprzeciw siebie jak tygrysice, wściekłe o żer, co mają wbijać kły w swoje cielska.

Judyta wytrzymała wściekłe spojrzenia Klary i odpowiedziała na nie szyderczem zapytaniem:

– Czy pani Sternegg zastanowiła się już nad sobą, w tem spokojnem odosobnieniu?

— Ha! zjawiłaś się żmijo! Czy pani sądzisz, że lękam się ciebie? Nie, ja cię tylko nienawidzę i pogardzam tobą – wybuchła Klara.

– Ha, ha, ha, – zaśmiała się Judyta – taka... taka .. ladacznica pogardza. To istotnie zabawne.

– Milcz! Ty chciałaś być taką, ale kopnięto cię... suko — wrzeszczała Klara.

– Hola! spokojniej mościa pani, bo cię każę ochłostać.

– Jakiem prawem mi grozisz? jakiem prawem mnie więzisz? Puść mnie z tych murów, z tej zbójeckiej nory.

– Będziesz tu pani, dopóki mnie się będzie podobało.

— Odpowiesz za to przed księciem. Książę się dowie, dowiedzieć się musi i ukarze zbrodniarzy, którzy dopuścili się na mnie takiego gwałtu.

— Książe wie o wszystkiem, bo wszystko, co się tu stało, stało się z rozkazu najjaśniejszej pani.

— Kłamstwo! nie uwierzę, nigdy nie uwierzę.

— A jednak moja mości pani, jesteś w mojej mocy, a jeżeli ci się tu nie podoba, może ci się będzie lepiej podobało w więzieniu. Bo wiedz o tem i zapamiętaj to sobie dobrze mościa pani Sternegg, że dopiero wtedy odzyskasz swobodę, gdy się książę ożeni, a i to jeszcze pod warunkiem, że kraj opuścisz na zawsze.

— Ja nie chcę tu zostać. Puszczajcie mnie, krzyczała Klara rozpaczliwie i rzuciła się na Judytę.

Judyta dotknęła prędko dzwonka i w tej chwili drzwi się nagle rozwarły, a dwóch lokai stanęło w progu.

— Pilnować tej obłąkanej, jak dotąd, a gdyby bardzo szaleć zaczęła, wyprawić do mnie posłańca.

To rzekłszy, spojrzała Judyta nienawistnie, pogardliwie i dumnie na Klarę i wyszła. Lokaje zamknęli prędko drzwi na klucz.

Klara stała chwilę, zbierała myśli, czy naprawdę nie jest obłąkaną, potem rzuciła się do drzwi i w szalonej rozpaczy biła w nie, trzęsła niemi – wołając:

– Puszczajcie, kto w Boga wierzy, puszczajcie! – aż padła zemdlona.

Gdy się ocknęła, czuła osłabienie, apatyę, wyczerpanie – tylko się jej ukazywał synek maleńki, jak powtarzał że mu się śniło, iż książę ukochaną księżniczkę wypędził z zamku.

A Judyta zeszła na dziedziniec zamkowy jak zraniona tygrysica – i myślała, jakby upokorzyć tę twardą, zuchwałą naturę Klary, jakby ją sponiewierać za doznaną obelgę. Już miała wsiadać do powozu, gdy nagle przypadł w szalonym galopie dworzanin książęcy, zeskoczył z siodła i oddał list hrabiance. Rozerwała go natychmiast i przeczytała te słowa:

„Zdrada. Książę Ferdynand zdąża do zamku Landesberg. Wypraw pani jeńca w inne miejsce, albo go w zamku ukryj bezpiecznie. Działać jak najprędzej".

— To od pana marszałka? — zapytała dworzanina.

— Tak, pan marszałek sam mi wręczył ten list.

— Proszę powiedzieć panu marszałkowi, że nie mam czasu odpisywać, ale tymczasem wszystko dobrze.

Dworzanin się oddalił. — Judyta zamyśliła się to bladła, to się czerwieniła — nareszcie rzekła do siebie:

— Jeszcze sprawa nie stracona! Przybywaj jeno mości książę, ale już tu swej dziewki nie znajdziesz!

Gdzie ona?

Książę Ferdynand pędził galopem po szerokiej drodze w lesie, a obok niego adjutant hr. Buchenau.

Gdy na końcu drogi ukazał się zamek Landesberg, książę wstrzymał konia i przez szkła wpatrywał się w omszałe mury zamczyska, jakby je przebić chciał wzrokiem i dojrzeć, gdzie się Klara znajduje.

Hrabia Buchenau podjechał do księcia i zapytał wesoło:

— Niech mi wolno będzie spytać waszej książęcej mości, po co my też tak pędzimy, na złamanie karku, do tego zamczyska?

— Chciałem zobaczyć starą siedzibę hrabiów Landesberg, — odpowiedział książę.

— Czy zamek, czy jego mieszkańców? O ile mi wiadomo, to zamek zupełnie opustoszały.

— A jednak jest tu ktoś, kogo szukam.

— Ale przecież nie pani Sternegg.

— Właśnie ona — odpowiedział książę, spiął konia ostrogą i popędził dalej galopem, a za nim podążał hr. Buchenau.

Za kilka minut wjeżdżali już w dziedziniec zamkowy. Książę spostrzegł powóz hrabianki i uśmiechnął się z zadowoleniem. Zeskoczył prędko z konia i rzucił cugle służącemu. Toż samo uczynił hrabia i obaj zdążali do zamku, spostrzegłszy Judytę, stojącą w portalu.

Gdy książę do niej się zbliżył, rzekła udając jak największe zdziwienie.

— A cóż to za niespodzianka! Wasza książęca mość w tych murach!

— Sądziłem, że moje przybycie nie będzie dla pani niespodzianką.

— Wszakżesz nie mam ani prawa, ani nawet powodu spodziewać się, że książę chciałeś odwiedzić ten zamek w chwili, gdy ja w nim bawię.

— Wybacz pani, że zupełnie szczerze, iż przybyłem tu odwiedzić osobę, którą pani, wbrew jej woli, raczysz swoją gościnnością.

— Istotnie, nie rozumiem waszej książęcej mości nic. Mieszkając w tym zamku stale nie zwykłam przyjmować w nim gości.

— Ale obecność pani w tej chwili w tym starym zamku pozwala mi się domyśleć, że przybywa tu gość jakiś wyjątkowo, którego pani odwiedzić pragnęłaś!

— Nie umiem sobie wytłómaczyć, czemu mam zawdzięczać to niezwykłe zainteresowanie W. ks. mości zamkiem hrabiów Landesberg.

Książę zaczął się niecierpliwić; ta szermierka frazesami prędko go znużyła, więc dosyć szorstko odpowiedział:

— Racz pani łaskawie uwolnić mnie od wszelkich komedyi i wskazać mi komnatę, w której zamknięta jest pani Sternegg.

Judyta spojrzała na księcia zdumiona i udając urazę rzekła:

— Wasza książęca mość pomyliłeś się bardzo, sądząc, że jabym mogła gościć w zamku hrabiów Landenberg jakąś tam panią Sternegg.

— A więc ją pani bezprawnie więzisz, jeżeli nie gościsz — zawołał książę opryskliwie.

— Wasza książęca mość raczysz przemawiać takim tonem, jakobyś chciał mieć prawo wydawania mi rozkazów. Niech mi będzie wolno zwrócić uwagę waszej książęcej mości, że pozostaję jedynie pod rozkazami najjaśniejszej pani. Spodziewam się też, że najjaśniejsza pani raczy o tem uwiadomić Waszą książęcą mość.

Zimna krew i stanowczość Judyty rozdrażniały księcia i zaniepokoiły, bo czuł się tu zupełnie bezbronnym, a nasuwały mu się myśli, że może kłamliwe były doniesienia o uwięzieniu Klary w tym zamku. Gdzie ona? gdzie ona? przesuwało mu się migiem przez głowę? I ta niepewność zachwiała nim na chwilę. Kobiecym instynktem poznała to Judyta i rzekła spokojnie:

— Jeżeli W. ks. mość tak bardzo interesuje się moim zamkiem i pragnie się przekonać, czy nie ma w nim gdzie jakich utajonych mieszkańców, to racz W. ks. mość być w nim jak we własnym domu; klucze i służba są do dyspozycyi.

Kazała przywołać burgrabiego i rzekła głośno:

— Proszę otwierać wszystko od strychów, aż do piwnic, co tylko spodoba się widzieć Jego ks. mości.

Stary burgrabia szedł naprzód blady, zgarbiony, nogi się pod nim trzęsły, a za nim kroczyła Judyta z księciem i hr. Buchenau. Przeszli przez liczne krużganki i sklepione sale. Po kamiennych przestrzeniach rozchodziły się echa ich stąpań. Zdziwiły się puhacze, że im ktoś spokój przerywa. Zamarła przeszłość tych głośnych dawniej murów, pytała groźnie przybyszów: „Czemu mnie budzicie?“

Zbliżono się do komnat nie opustoszałych. I tu było wszystko jakby zamarłe, a dopiero gdy weszli do narożnej komnaty, książę doznał dziwnego wrażenia. Zatrzymał się nagle jakby czegoś nadsłuchiwał, jak gdyby czegoś chciał się dopatrzyć, jak gdyby coś spodziewał się znaleźć. Jakiś głos wewnętrzny szeptał mu, że Klara tu być musiała; zdawało mu się, że te ponure sklepienia przemawiają do niego echem jej westchnień, echem jej cierpienia. Zdawało mu się, że z wszystkich kątów tej komnaty dobywa się głos uwięzionej, wzywający jego pomocy.

Wstyd mu było przyznać się do tego, a tych wrażeń pozbyć się nie mógł, więc usunąwszy się na bok z hr. Buchenau, szepnął mu do ucha:

— Bądź łaskaw kochany hrabio rozpytać się między służbą zamkową, czy jest tu pani Sternegg, lub czy tu była. Jestem pewien, że tu była. Nie podobna przypuszczać, żeby ktoś ze służby o czemś nie wiedział. Zechciej nie żałować groźby i pieniędzy.

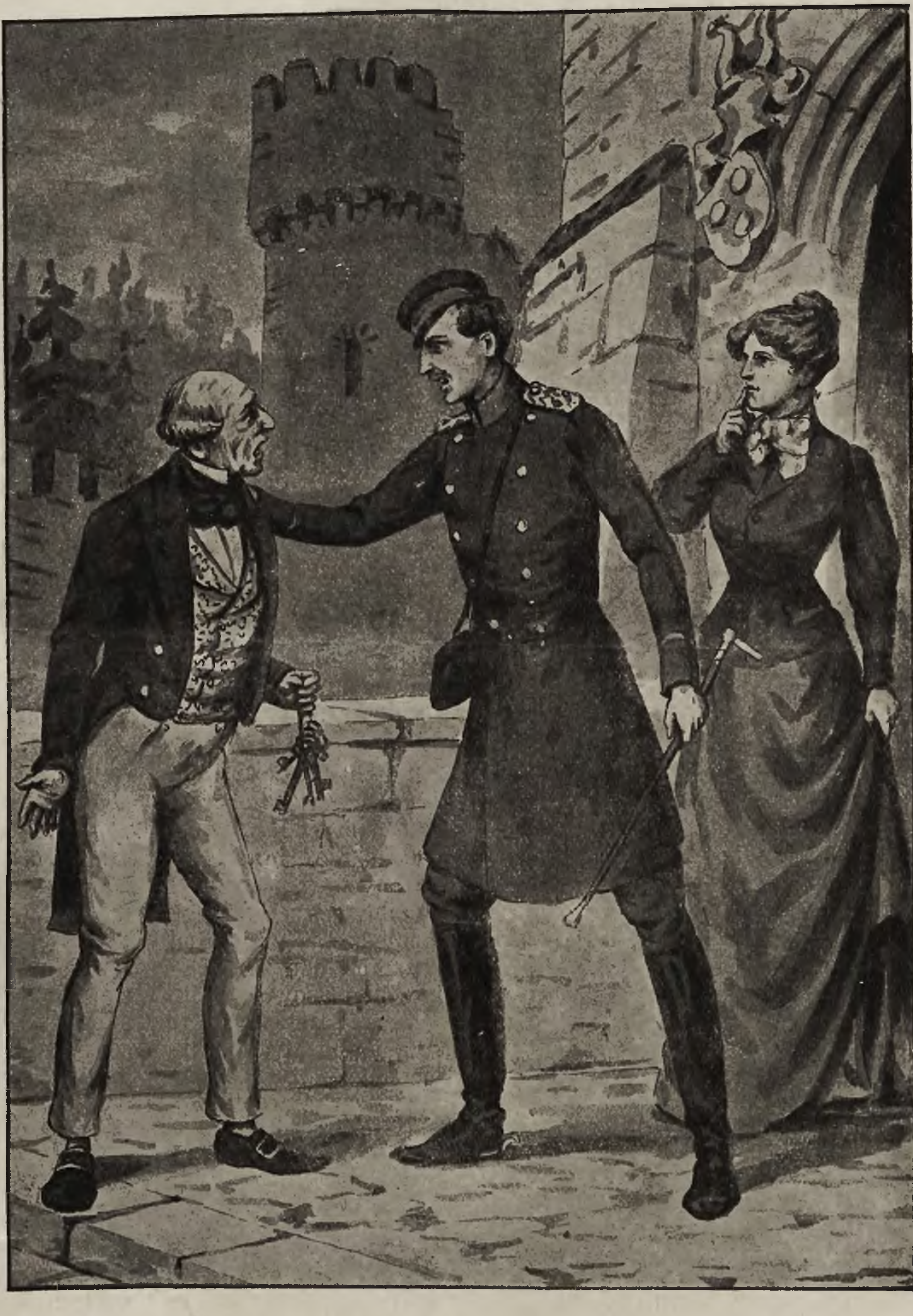
Hr. Buchenau wysłuchał tego rozkazu z widoczną niechęcią, a nawet wyraz wstrętu pojawił się na jego twarzy. Ks. Ferdynand zatopiony w doznanych wrażeniach, nie dostrzegł tego i wrócił do Judyty.

— Czy wasza książęca mość każe sobie pokazać i podziemne lochy, zapytała Judyta ironicznie:

— To zbyteczne. Nie mogę posądzać pani o tak wielką srogość, abyś w podziemnych lochach gości umieszczała — odpowiedział książę zrozumiawszy ironię Judyty. Jednak jestem najmocniej przekonany, że osoba, której szukam jest, albo też była w tym domu.

— Czyż wasza ks. mość mniewa, że jestem czarodziejką i że posiadam moc czynienia ludzi niewidzialnymi.

Przeszli jeszcze przez kilka komnat i korytarzy i zbliżyli się do schodów. Książę był bardzo rozdrażniony; krew mu uderzała do głowy; dręczył go niepokój o Klarę i doznany zawód. Rozgorączkowany traci panowanie nad sobą i przyskakując do burgrabiego, chwyta go za ramię i pyta groźnie:



— Czyś głuchy stary? — krzyknął książę.

— Ej, ty stary, gdzie jest ta pani, co ją tu przed trzema dniami przywieziono w nocy.

Judyta z poza pleców księcia spojrzała groźnie na burgrabiego. Starzec zobaczył to spojrzenie, zbladł, zatrząsł się, a klucze dzwoniły mu w ręce.

— Czyś głuchy stary? krzyknął książę. Mów prędzej gdzie jest ta pani, którą przywieziono przed trzema dniami.

Starzec rzucił okiem na Judytę, potem spuścił głowę i rzekł drżącym głosem:

— Ja... ja... nie... nie wiem, nic nie wiem.

Judyta uśmiechnęła się złośliwie.

Książę, nie pożegnawszy Judyty, zbiegł prędko ze schodów, zawołał hr. Buchenau i zapytał:

— Dowiedziałeś się pan czego?

— Niczego, odpowiedział Buchenau.

Książę dosiadł prędko konia, i nie zwróciwszy się nawet ku Judycie, odjechał galopem, wraz ze swoim adjutantem. W kilka minut potem odjechała też i Judyta, a w zamku było znowu pusto i cicho i tylko las szumiał dokoła. A w lesie tętniały kopyta końskie na kamienistej drodze; książę pędził bez opamiętania, tylko pytał się drzew po drodze i chmur na błękicie i promieni słonecznych — gdzie ona?

Burgrabia stał na dziedzińcu oniemiały, wystraszony, spoglądał na znikający w oddali powóz swej pani i w głowie nie mógł sobie ułożyć i rozjaśnić, co się tu właściwie dzieje. Tego jeszcze nigdy nie bywało, ani za starego pana, ani za panicza. Paniczem był dla starego strażnika ojciec Judyty, boć go przecież na konia wsadzał, strzelby mu nabijał, do lasu prowadził, hej, nawet i bajkami go jeszcze zabawiał.

Nie było tego nigdy, co teraz. Źle to, czy dobrze? któż wie? Bóg i panienka! Ha! co mu do tego? poco o tem myśleć. Więc wreszcie machnął ręką i zdążał do swej izdebki.

Zabiegła mu drogę niespokojna Agata.

– Słuchaj-no stary — rzekła — coś w tem jest. Żeby nie co złego dla nas?

– Ej, jakże, skądże?

— Przecież to książę, królewicz, na tronie osiędzie. Wielka rzecz! Widzisz, a nużby się potem pogniewał. Co?

— Ba! Książę! On daleko, a hrabianka blisko. Książę nam nie daje chleba.

— Ej, stary, ja się czegoś boję.

— Chleba nie daje, ale to przecież syn monarchy.

— A mnie nic do tego. Panienka kazała trzymać język za zębami i robić, co każe. No widzisz matka, tak też być powinno. Pan każe, sługa musi.

— Gadaj sobie stary, co ci się podoba, a ja swoje. Mnie się to nie nadaje jakoś, żeby tak zamykać młodą kobietę, jakby do aresztu, a potem ją wywozić, uciekać z nią, gdy książę miał przyjechać. To nie może być czysta sprawa.

— Dajże mi matka spokój. Nie wrażaj palca między drzwi. Idźże sobie i siedź cicho.

— Dobrze ci tak mówić, bo ciebie nikt nie porwał, nie zamknął i nie chowa przed światem. Rób co chcesz, a ja pójdę na zamek, do księcia i powiem wszystko.

— Cicho babo! cicho! Ani słowa, ani mi się waż! Przykazanie pańskie, to jak przykazanie Boskie. Słuchaj kobieto! Nie rób głupstw.

Pogroził kluczami i poszedł do izdebki. Agata mruczała i mruczała, stała chwilę zamyślona a potem rzekła do siebie:

— Juścić, przykazanie pańskie, to jak przykazanie Boskie, ale skoro się Boskiemu sprzeciwia, to już nie Boskie. Krzywdzić kobiety, nie wiedzieć za co, zamykać, ukrywać — to się nie godzi. i obraza Boska, a co obraza Boska, to i grzech. Ja na sumienie tego grzechu brać nie chcę. Niech będzie co chce — pójdę, pójdę i powiem – jak mi Bóg miły, powiem księciu wszystko co wiem.

Na morzu.

Ołowiem chmur powlekło się niebo. Ponuro kłębiły się fale morskie, wiatr zimny spędzał podróżnych z pokładu; wszyscy chronili się do sal, do kajut, lub przespać chcieli i nudy i czas niepogodny.

Tylko Ryszard i Hania nie doznawali trudów, nudy, nie widzieli czarnych, kipiących, groźnych fal morza, ołowianych chmur nieba. Było im słonecznie w duszy, więc cóż ich obchodziło, że wicher wieje, że słońce zagasło nad niemi, że parowiec walczy z morzem o tyle żywotów, które mu się powierzyły.

Ryszard swobodny! Już go nie dręczy widmo hańbiącej kary za winy nie popełnione, już go nie szarpie uczucie doznanej, strasznej krzywdy. Wolny! A ona? Ojciec, jej najdroższy ojciec w więzieniu, ale Bóg sprawiedliwy, Bóg czuwa, nie dozwoli mu wyrządzić krzywdy. Książę szlachetny, uwolni. Potem wykaże się niewinność Ryszarda, bo mordercę pochwycą, a oni wrócą do ojczyzny i połączą się z ojcem. Ona go otoczy troskliwością, będzie mu osładzała i życie i wspomnienia dawnych nieszczęść. A teraz Ryszard przy niej, jej ukochany, najdroższy! A ona jest jego żoną i złączeni na całe życie, już się nie rozdzielą. (C. d. n.)



Z wojny ros.-jap.: Jenerał Kondratienko, kierujący osobiście robotami około min w Porcie Artura.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Echa z pola bitwy. Przepowiednie dzienników i przewidywania korespondentów wojennych dotychczas się wcale nie spełniły, do tej pory bowiem w Mandżuryi nie przyszło jeszcze wcale do walnej bitwy, a jak się okazało, ataku japońskiego na pagórek Putiłowa wcale nawet nie projektowano w głównej kwaterze marszałka Oyamy. Atak był poprostu dziełem inicyatywy lokalnego dowódcy, który w sile trzech batalionów piechoty zaatakował Rosyan, ale przywitany morderczym ogniem armatnim, musiał cofnąć się do zajmowanych przedtem stanowisk.



Z wojny ros.-jap.: Jenerał Kuropatkin ogląda wzgórza jantajskie po pierwszym ataku Japończyków, który został odparty.

Nad rzeką Szacho toczy się teraz co dnia z małymi tylko przestankami walka na armaty; nie brak też drobnych potyczek i chwilowych utarczek pomiędzy przednimi strażami obu armij — ale do masowej walki jeszcze daleko i jak to sam jenerał Kuropatkin oświadczył francuskiemu attaché wojskowemu, przed wiosną nie można się spodziewać żadnej ważniejszej zmiany w obecnej sytuacyi. I nic w tem chyba niema dziwnego, jeśli się pomyśli, że obecnie, gdy zima jest jeszcze niemal w zaczątku, mrozy dochodzą do 25 stopni poniżej zera! W takiej temperaturze najbardziej zapalne umysły muszą ochłonąć, a wodzowie nie kwapią się do boju, wiedząc dobrze, ile stracił na sprawności żołnierz przeziębnięty, spowity w grube futra, których nie może zrzucić z obawy przed zmarznięciem.

W dowództwie armii rosyjskiej zaszły pewne zmiany. Do Mukdenu przybył już jenerał Liniewicz, który ma objąć komendę nad jedną częścią armii jenerała Kuropatkina. Czy jednak to mianowanie wyda jakie owoce, niewiadomo, gdyż, jak donoszą, jenerał Liniewicz nie jest przyjaźnie usposobiony względem jenerała Kuropatkina i zamiast iść mu na rękę, będzie tylko krzyżować jego zamiary. Spodziewanem jest także zamianowanie jenerała Kaulbarsa wodzem drugiej części armii mandżurskiej. Na to mianowanie prasa rosyjska zapatruje się bez sceptycyzmu, a zapewne powita je z radością, gdyż jenerał Kaulbars cieszy się opinią jednego z najzdolniejszych strategików po sławnym byłym ministrze wojny Dragomirowie.

Jeszcze o bitwie pod Jantajem. Obecnie dopiero nadchodzą dokładne opisy owych strasznych zapasów, jakie Japończycy stoczyli pod Jantajem z Rosyanami. Opisy te grozą przejmują czytającego, lecz — jak sami korespondenci nadmieniają — są tylko wyblakłem odbiciem tragicznej rzeczywistości, której pióro największego nawet geniusza nie byłoby w stanie odzwierciedlić.

Na wzgórzach jantajskich toczyły się tytaniczne walki, walki ludzi pijanych zaciekłością i nienasyconą żądzą mordu, formalnie odchodzących od zmysłów, wprost szaleńców.

Pierwszy atak, który wykonali Japończycy z niesłychaną w batalistycznych dziejach brawurą pod krzyżowym ogniem dział i moździeży, został odparty przez Rosyan. Trupy żołnierzy japońskich gęsto zaległy pole walki, a jenerał Kuropatkin, który w czasie chwilowej przerwy zwiedził te wzgórza, nie mógł oprzeć się, aby nie wyrazić podziwu dla męstwa przeciwników, co z najwyższą pogardą na rozkaz wodza szli na pewną śmierć bez wahania.

Tydzień trwały tu rozpaczliwe walki, tydzień zmagały się dwie potęgi, zanim ostatecznie Japończycy po strasznych, wprost nadludzkich wysiłkach zdobyli palmę zwycięstwa.

Starcia na bagnety, na pięści i noże były na porządku dziennym. W całym szeregu ataków japońskiej ofenzywy i kontr-ataków rosyjskich, padło trupem przeszło dwadzieścia tysięcy żołnierzy, a liczba rannych doszła do dwukrotnej niemal wysokości tej cyfry.

Z tych cyfr, których dokładnie nawet zestawić nie można i które w rzeczywistości zapewne są o wiele większe, można wyobrazić sobie, jak krwawą i pełną grozy jest ta wojna, tocząca się na wschodnich krańcach Azyi.

Pod Portem Artura. Podczas gdy na terenie mandżurskim panuje cisza, pod Portem Artura walki nie ustają. Załoga twierdzy, ożywiona wciąż jeszcze nadzieją odsieczy, broni się zaciekle przeciw szturmującym Japończykom, a na ich roboty oblężnicze odpowiada robotami minierskiemi, które mają na celu utrudnić Japończykom dostęp do twierdzy. Robotami temi kieruje osobiście jenerał Kondratieńko, podkomendny jenerała Stoessla Pod jego nadzorem saperzy rosyjscy podwójnym pasem min i fugasów otoczyli wały fortyfikacyjne tych wszystkich pozycyi, które są jeszcze w rękach rosyjskich, a specyalnie podminowali całą okolicę wzgórz i redut Liaoteszanu, dokąd schronić się ma jenerał Stoessel wraz ze swą załogą w razie, gdyby zanim odsiecz nadejdzie, Japończycy zajęli miasto i forty, będące obecnie przedmurzem głównej twierdzy.



Z wojny ros.-jap.: Japoński minister wojny jenerał Teraoutchi.

Te roboty minierskie, jak donosi jenerał Stoessel w depeszach, które przywiózł do Czifu kontrtorpedowiec „Roztropny", są już na ukończeniu. Obrońcy twierdzy wiele sobie po nich obiecują, chociaż nie można przypuścić, aby Japończycy byli do tego stopnia naiwni, żeby szli do ataku bez uprzedniego przeprowadzenia kontr-min, któreby zniszczyły zasadzki, uczynione na atakujących ze strony Rosyan.

W zeszłym numerze wspominaliśmy o udałej wyprawie „Roztropnego", który zdołał przedrzeć się przez szeregi japońskich okrętów, blokujących przystań portarturską i dotrzeć do Czifu.

Otóż wraz z „Roztropnym", jeszcze trzy inne torpedowce otrzymały duplikaty depesz jenerała

Stoessla i rozkaz przekradzenia się przez linię blokady. Żaden jednak z tych statków nie spełnił swego zadania: jeden z nich został zatrzymany i zatopiony po jednogodzinnej walce przez załogę japońskiego krążownika „Kasugi“; z takim samym losem spotkał się i drugi torpedowiec rosyjski, któremu zastąpił drogę okręt liniowy „Matzuszima“. Torpeda rosyjska trafiła wprawdzie „Matzuszimę“, ale mimo to potrafił on dalej pełnić służbę i pogrążyć w nurtach morza atakujący go torpedowiec wraz z całą załogą. Tak samo poszedł na dno i trzeci torpedowiec, zaatakowany przez dwie kanonierki japońskie. Jeden tylko „Roztropny“ zdołał spełnić swą misyę, a załoga jego została obecnie przez władze chińskie, po porozumieniu się z rządem japońskim, internowaną w Szanghaju.

Z szeregu walk, jakie dotychczas stoczono pod Portem Artura, do najkrwawszych trzeba zaliczyć szturm piechoty japońskiej na fortyfikacye, wzniesione wśród wzgórków Itzuszan. Zacięty ten atak, uwieńczony ostatecznie zwycięstwem Japończyków, drogo kosztował armię oblężniczą.

Z obu stron walczono z niewidzianą dotychczas zaciętością, a i wówczas, gdy pierwsze szeregi japońskie wdarły się na skarpy, ukrywające baterye forteczne, Rosyanie jeszcze nie chcieli ustąpić, jeszcze usiłowali białą bronią odeprzeć szturmujących. Na nic jednak nie przydała się ta bohaterska obrona. Wsparci rezerwami piechurzy japońscy po krótkiej walce zawładnęli fortem i wywiesili na nim chorągiew z kwiatem chryzantemu w złotem polu, a w parę dni potem z tego punktu poczęli ostrzeliwać dalsze pozycye rosyjskie.



Z wojny ros.-jap.: Atak piechoty japońskiej na forty Itzuszan.

Japończycy się zbroją. Mimo wszelkich wersyj, a nawet faktycznych dowodów niezdolności do boju, jaką się ma odznaczać zdążająca na daleki Wschód flota bałtycka, Japończycy bynajmniej nie lekceważą sobie tego nowego wroga. Przeciwnie, na wieść o wyruszeniu floty bałtyckiej pamiętni, że Rosya jest w stanie także ewentualnie wysłać na plac boju i eskadry czarnomorskie — gdyż Turcya nie złożywszy deklaracyi w sprawie swej neutralności, może okrętom tej floty dozwolić na przepłynięcie przez Bosfor — starają się zwiększyć swe siły morskie.

I jak ostatnie depesze donoszą z Tokio do portu w Yokohamie przybyło pięć łodzi podwodnych, których sztab marynarki japońskiej ma zamiar użyć w najbliższej bitwie.



Z wojny ros.-jap.: Leon Barszczewski, podróżnik po Azyi środkowej, komendant jenisejskiego batalionu rezerwowego na dalekim Wschodzie.

Łodzie podwodne (pierwszą taką łódź zbudował Anglik Drebbel jeszcze w r. 1624 i przepłynął w niej Tamizę) mają ten sam zakres działania, co torpedowce, ale dla przeciwnika są o wiele niebezpieczniejsze, gdyż zbliżają się do pancerników nieprzyjacielskich po pod powierzchnią morza, a więc niespostrzeżenie, i wyrzucają torpedy cokolwiek odmiennej budowy niż te, którymi posługują się torpedowce, ale też i o silniejszym wewnętrznym ładunku prochu.

Łodzie podwodne, zbudowane ze stali w kształcie cygara, którego jeden koniec stanowi przyrząd do wyrzucania torped, a drugi zaopatrzony jest w śrubę, nadającą kierunek i wprawiającą łódź w ruch, poruszane są motorem dynamo-elektrycznym i zaopatrzone w bardzo szczupłą załogę. Tworzy ją zwykle mechanik, kierujący ruchami łodzi, oficer, przy którym jest komenda statku i trzech do sześciu marynarzy, przeznaczonych częścią do obsługi motoru, częścią zaś do obsługi przyrządu, wyrzucającego torpedy.

Łódź podwodna prawie cały czas płynie ponad powierzchnią morza i dopiero, gdy nadchodzi chwila, w której ma przystąpić do ataku, zanurza się wśród fal, stosownie do terenu dna morskiego i do strategicznej potrzeby, na kilka lub kilkanaście metrów, niedostrzeżenie podpływa pod nieprzyjacielski statek, wyrzuca jedną lub dwie torpedy i cofa się czemprędzej do własnej eskadry, aby wyszedłszy po za linię strzałów zbadać skuteczność swego ataku i w razie potrzeby ponowić go natychmiast, albo też rzucić się na nową ofiarę.

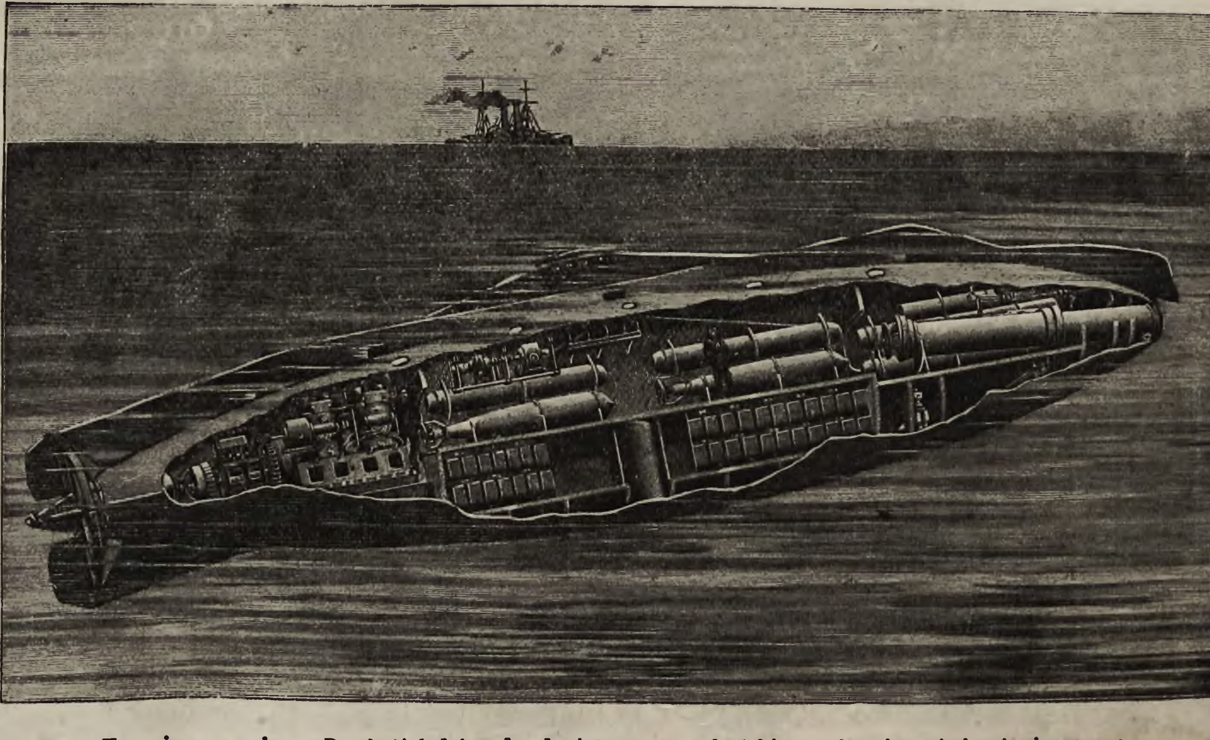
Ciężką jest walka z łodziami podwodnemi, które, choć same mają lilipucie kształty, rzucają się na olbrzymie pancerniki i zatapiają te kolosy, ale i służba na tych łodziach nie należy do przyjemności, bo załoga ich zawsze jedną nogą stoi w grobie: niech tylko zepsuje się coś w maszyneryi, niech motor dynamo-elektryczny przestanie funkcyonować, niech w statku zrobi się jedna mała dziura, łódź wraz z całą załogą idzie na dno morza i żaden z marynarzy, zamkniętych hermetycznie, nie może nawet marzyć o ratunku.

Jak widzimy japoński minister wojny jenerał Teraoutchi odczuwa dobrze, że Rosyi mimo dotychczasowych jej niepowodzeń lekceważyć nie można, że Japonia nie powinna się cofać przed największymi wydatkami, byleby tylko liczebnej przewadze nieprzyjaciela przeciwstawić jak najlepsze uzbrojenie i sprawne pełne karności szeregi. To też wszelkie kredyty, jakich tylko zażąda ministeryum marynarki, nie spotykają wcale opozycyi ze strony jenerała Teraoutchiego. Przeciwnie on sam dał impuls do uzbrojenia i wzmocnienia floty eskadry łodzi podwodnych.

W Charbinie. Rosya także przygotowuje się do dalszej wojny. Szeregi pociągów z całego jej obszaru, a niestety także i z Królestwa Polskiego, Litwy i z mało-ruskich gubernij, zdążają hen aż do Charbina, gdzie pod komendą jenerała Gripenberga ma się uformować druga armia mandżurska, która niebawem wyruszy na plac boju. Ale tylko część rezerwistów zostaje w tem mieście, część tylko pod nadzorem oficerów odbywa codzienne ćwiczenia w kasarnianych podwórzach i kształci się w wojennem rzemiośle — inni odrazu idą zaglądnąć śmierci w oczy, zapełnić te luki, które poczyniła wojna w armii jenerała Kuropatkina.

Tych przeważnie wcielają do pułków strzelców syberyjskich, które idąc zawsze na pierwszy ogień, dotychczas największe poniosły straty tak w zabitych, jak i rannych, ale przy tem okryły się sławą, zwłaszcza w bitwie pod Liaojanem, gdzie po morderczej walce mimo znużenia, zasłaniały odwrót wszystkich wojsk rosyjskich.

Strzelcy syberyjscy obeznani z terenem walki, przyzwyczajeni do klimatu i warunków życia w Mandżuryi, byli bezwątpienia najlepszą cząstką armii jenerała Kuropatkina. Obecnie pułki te zasilone przez rezerwistów, nie przywykłych do nowego rodzaju życia, oderwanych od pracy codziennej, od pługa lub fabryk, nie obeznanych dobrze z rzemiosłem wojennem, zmienią swą fizyognomię



Z wojny ros.-jap.: Przekrój łodzi podwodnej typu amerykańskiego, obecnie najwięcej używanego.



Z wojny ros.-jap.: Grupa strzelców syberyjskich pierwszej armii mandżurskiej.

i stracą tę bitność, jaką się dotychczas odznaczały. Musi to odczuwać sam jenerał Kuropatkin, skoro — jak dowiadujemy się z depesz — cofnął te pułki z frontu armii i ustawił je na tyłach armii, jako rezerwę.



Z wojny ros.-jap.: Jenerał Kaulbars, który ma objąć komendę drugiej części armii jenerała Kuropatkina.

A tymczasem Charbin wre cały i tętni gorączkowem życiem przygotowań, jakie czyni nowa armia do wyruszenia na krwawe boje. Najwięcej zaś pracuje intendentura rosyjska, na którą spadł ciężar zaopatrywania w żywność tych tysięcy przybywających bez ustanku z głębi kraju, aby wziąć udział w walkach z nieprzyjacielem, osobiście nie jednemu nawet z obrońców Rosyi sympatycznym.

Polacy na dalekim Wschodzie. Głos polskiej mowy rozbrzmiewa często wśród szeregów rosyjskich. Bracia nasi, nie mający nawet żadnego interesu w tej krwawej wojnie, przeciwnie z pewnością lepiej życzący Japonii, niż temu sztandarowi, który powiewa nad ich głowami, muszą niestety wbrew swym sympatyom brać udział w tych walkach, które się toczą na polach i wzgórzach Mandżuryi. Nie wiele chyba wśród tych tysięcy polskiej młodzieży, którą przystrojono w żołnierskie szynele, jest Wielopolskich i Radziwiłłów, co na pierwszą wieść o wybuchu wojny, jako ochotnicy pospieszyli w rosyjskie szeregi. — Walczyć po stronie swego najzaciętszego wroga, smagającego swym batem od tylu lat nasz biedny, nieszczęśliwy naród, którego całą winą było to tylko, że nie chciał i nie chce wyrzec się swej wiary i przeszłości, że jak był polskim tak chce nim pozostać, nie tylko już nie należy do przyjemności, ale jest wprost straszną męką moralną. Serce wzdryga się na samą myśl o tym strasznym przymusie, którego ofiarą pada nasza młodzież zarówno inteligentna, jak rzemieślnicza i wiejska, porwana od ognisk domowych i wysłana hen daleko dla obrony interesów mocarstwa, tłumiącego każdy poryw tak upragnionej przez nas wolności i swobody!

Wśród Polaków, co na dalekim Wschodzie przelewają krew za Rosyę, znajduje się także znany z swych podróży po Azyi środkowej, pułkownik Leon Barszczewski, który obecnie został zamianowany komendantem jenisejskiego batalionu rezerwowego. Podajemy portret jego, jako jednego z tych, których przemoc zmusiła do walki, a który dla nauki położył ogromne zasługi na polu geografii i topografii środkowej Azyi.

Transport żywności. Intendentura japońska dokazuje cudów! W kraju obcym jej, zupełnie zniszczonym przez wojnę, gdzie głód do wszystkich mieszkańców wyszczerza zęby, potrafi ona zaopatrzyć w żywność te setki tysięcy żołnierzy i koni, co biorą udział w boju i żaden z wodzów nawet skarżyć się nie może na brak jakiś lub na



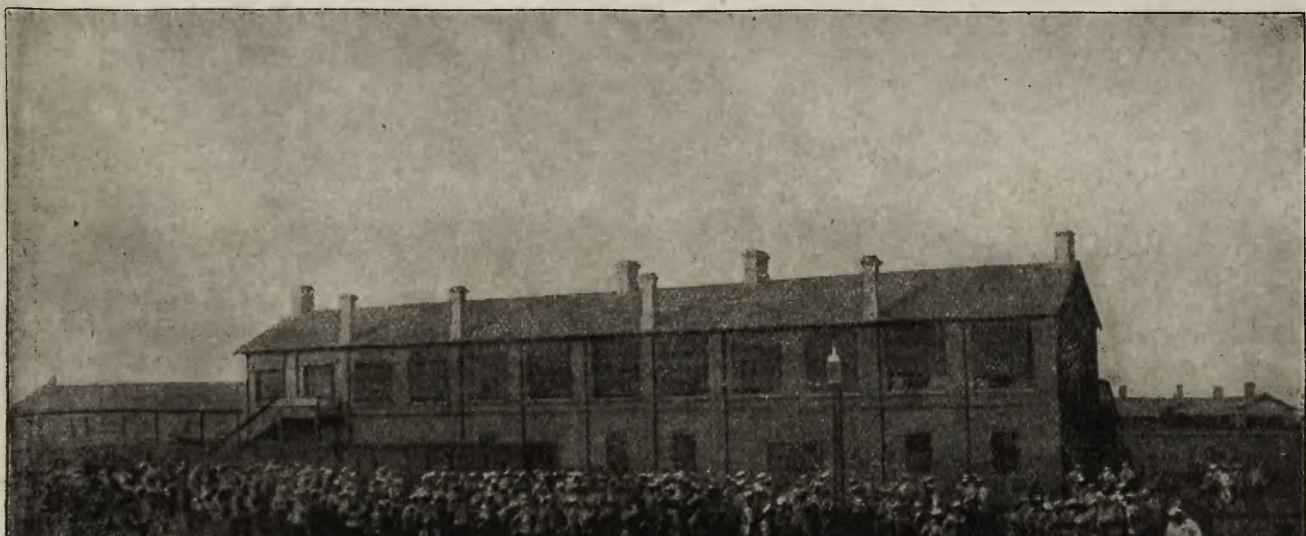
Z wojny ros.-jap.: Kulisi pełniący funkcyę lokomotywy przy transportach żywności dla wojsk japońskich na rzeką Szacho.

niepunktualność z jej strony. Dobrze odziani, zawsze syci i pewni, że nie spotkają się z widmem głodu, Japończycy muszą mieć przewagę nad rosyjskim żołnierzem, który często tylko wódką i spleśniałym kawałkiem chleba musi podtrzymywać swe siły.

Ale też intendentura japońska nie rozumie, co to znaczy zwłoka dla braku lokomotyw lub wagonów towarowych. Gdy wszystkie lokomotywy są zajęte, a transport musi odejść, do wyładowanych wagonów zaprzęgają się setki chińskich kulisów i siła ludzkich muskułów zastępuje parę. Gdy braknie przypadkiem wagonów, kulisi na własne grzbiety biorą ładunek i pod osłoną japońskich żołnierzy idą naprzód, byleby tylko nie opóźnić transportu, na który oczekuje armia.

I zanim wyczerpie się pierwszy transport żywności czy też mundurów, już drugi przybywa na miejsce przeznaczenia, a w ten sposób dzięki energii i sprężystości intendentury japońskiej, wojsku na niczem nigdy nie zbywa. Naczelny wódz wszystkiego ma pod dostatkiem, a nie potrzebując troszczyć się o to, w co ubierze i czem nakarmi swych podwładnych, może spokojnie myśleć o taktycznych ruchach armii, snuć i przeprowadzać plany, które mają mu zapewnić zwycięstwo.

To, co się widzi podczas manewrów w minimalnych rozmiarach, podczas wojny daje się odczuć dopiero w całym ogromie, a mianowicie fakt, że dobra, sprężysta intendentura, spełniająca punktualnie swe obowiązki, jest główną podstawą, na której wódz może budować nadzieję zwycięstwa.



Z wojny ros.-jap.: Żołnierze rosyjscy w Charbinie podczas ćwiczeń na podworcu kasarni.

LUEGER W KOŁOMYI.

Opowieść wesoła, zaczerpnięta ze stosunków galicyjskich

przez

Grzegorza Smolskiego.

I.

Słynna Pokucia stolica, opiewana w pieśni ludowej huculskiej „*Kołomyja ne pomyja, Kołomyja misto*“; gdzie „*diwczenońki jak przenyczne tisto*“, poruszona, wzburzona jak długa i szeroka, rozhukana jak morze burzą. Rynek obszerny czernieje żydami wyległymi, którzy gromadami rozprawiają głośno i giestykulują żywo. W ulicach, spływających do rynku, rojno i gwarno. Pociąg miejscowej kolei żelaznej, zdążający z rynku do Peczeniżyna i Słobody Rungurskiej, dysząc i sapiąc, stępem tylko posuwa się naprzód, by nie uszkodzić kogo z zacietrzewionych, snujących się po torze kolejowym.

Ożywienie, ruch, hałas, rwetes nadzwyczajny. Naprężenie i rozgorączkowanie umysłów nie mniejsze. Widać to po twarzach, słychać po krzyku, ze wszech stron zalatującym. Takiego zamieszania i takiej wrzawy niema nawet w dzień targowy. Co się stało?

Miastem wstrząsa febra wyborcza. Jarmark wyborczy. Za dni kilka wybór posła do rady państwa. Dobro kraju każdemu na sercu, każdy jak może usiłuje służyć swemu społeczeństwu.

Agitacya wre w pełnej sile.

Tak silnej, namiętnej, zaciekłej walki wyborczej podobno nigdy jeszcze nie było w stolicy Pokucia, kto żyw, bierze w niej udział — wyborcy i nie wyborcy. Ludność miasta wielostronnie zróżni-



czkowana narodowo, politycznie, wyznaniowo i społecznie uruchomiona do wojny pomiędzy sobą. Miasto podzielone na trzy wielkie obozy walczące i kilka jeszcze, że się tak wyrażę, namiotów, skupiających w sobie garście partyzantów pod chorągiewkami programów i zasad specyalnych. Każdy obóz, każdy namiot posiada własnego kandydata poselskiego, których razem jest dwunastu, jak apostołów. Z tuzina atoli trzech tylko wchodzi na seryo w rachubę, jako posiadających widoki zwycięstwa. Pozostających dziewięciu uważać należy za kandydatów platonicznych, jako stojących poza nawiasem stosunków miejscowo utartych i miarodajnych. Ostatni kandyduje jedynie dla cześci sztandaru, w którego stoją cieniu; dla zaznaczenia swoich zasad i przekonań, dla nadania wyrazu swej osobliwości, nie znoszącej zlania się, nawet kompromisowego, pod innym mianownikiem.

Przyglądnijmy się nieco bliżej tuzinowi kandydatów.

Pierwsze pomiędzy nimi miejsce zajmuje „kandydat komitetu miejskiego“: dr. Ezechiel Floch, rabin ze Stadlau pod Wiedniem. Stolica Pokucia nie miała nigdy szczęścia widzieć go, a w kraju, którego ma być przedstawicielem, nigdy nie postała jego stopa. Z wyborców, którzy za nim w ogień iść gotowi, nikt przedtem słówka o nim nie słyszał. Żydowscy chasydzi wielbią go, potężny kahał władający miastem niesie go na swych barkach, więc miejski komitet wyborczy ogłosił go swoim kandydatem. Przewyższył on nawet Cezara jako bohater dnia, bo nie przyszedł, nie widział a zwyciężył serca żydów prawowiernych li tylko wskutek listu polecającego, jaki w sprawie jego kandydatury wystosował szef wiedeńskiego domu bankierskiego J. O. Schmelkes et Compagnie, rodem z Peczeniżyna do Abrahama Jojny, przełożonego kołomyjskiej żydowskiej gminy wyznaniowej. Uprawnienie do ubiegania się o mandat poselski z Galicyi w miejskim okręgu Kołomyja-Buczacz-Śniatyn dało mu stanowisko rabina i nadany mu rozgłos, że zdoła skutecznie walczyć o prawa „ludu wybranego“.

Po liście bankiera Schmelkesa przybył osobny kandydata wysłannik na miejsce, który bawił w Kołomyi trzy dni, opowiadał kahałowi cuda o nim i ułożył z przywódcami żydowskimi wszystkie bliższe warunki kandydatury. Sam *rebe* przyrzekł przybyć później, bezpośrednio przed wyborami, przedstawić się wyborcom i wygłosić wielką mowę kandydacką o nadzwyczajnem znaczeniu swojego wyboru wobec wzrastającego niebezpieczeństwa ze strony antysemityzmu, który z Wiednia, stolicy państwa, gdzie dr. Lueger dzierży berło władzy, rozpościera ramiona polipowe do krajów koronnych i zaczyna nawet knować w Galicyi, gdzie posiada jawnych i ukrytych zwolenników. Żydzi muszą wysłać na widownię bojownika równomiernego hersztowi antysemitów, a tym jest rabin ze Stadlau, „nowoczesny Makabeusz“. Wybór jego stał się koniecznością wobec uroszczenia wyborców chrześcijańskich, którzy na własną rękę, czego dotychczas nie bywało, kandydują z swej strony hr. Młodzieńskiego, ukrytego antysemitę, który, jak wysłannik rabina zapewniał, utrzymuje tajne stosunki z dr. Luegerem i pozostaje z nim w zmowie przeciwko żydom. Ci użyć muszą wszystkich środków, wytężyć wsze siły, nie żałować pieniędzy, by nie dopuścić wroga do zwycięstwa, a poruczyć mandat poselski wytrawnym rękom rabina ze Stadlau, inaczej lud Izraela zgubiony. Wybór rabina dr. Flocha będzie wielkiem zdarzeniem, od którego datować się ma nowy okres dziejów żydowstwa, okres podjęcia walki z antysemityzmem, a na Kołomyję spadnie cześć i sława zapoczątkowania jej.

August hr. Młodzieński, właściciel pobliskich Oleksiniec z przyległościami, był przeciwnym i jedynie niebezpiecznym kandydatem rabina, opierając się na wyborcach chrześcijańskich. Agitacya za nim, kładąc szczególny nacisk na chrześcijaństwo wyborców, tem samem posiadała znamię hasła przeciwżydowskiego, co w ciągu walki wyborczej znacznie się jeszcze zaostrzyło, głównie wskutek „Kukułki Pokuckiej“, popierającej gorąco kandydaturę hrabiego, która w zapale agitacyjnym wzorowała się lekko na wiedeńskich pismach antysemickich.

Sam kandydat, typ hrabiego wschodnio-galicyjskiego, sportsman i gospodarz wiejski, w istocie rzeczy Bogu ducha winien, do walki z żydami ani usposobiony, ani przysposobiony, a z wiedeńskimi antysemitami zgoła żadnej nie posiadał styczności, owszem uważał ruch pod przewództwem dr. Luegera za skrajny, demagogiczny, bojąc się go jak ostrza brzytwy. Hrabia galicyjski z ogniem nie igra, raczej dmucha na zimne. Co prawda, żydów nie lubiał, zwłaszcza tych, z którymi sparzył się nieraz przy interesach, lub którym płacił dość wysokie procenty. Mimo to kroku bez faktora nie uczynił, z żydami najchętniej robiąc interesy. Klął im tylko i wymyślał, gdy nie szło po jego myśli i gdy wskutek tego w gniew wpadał.

„Chrześcijańskim kandydatem“, „antysemitą“ zrobiła go „Kukułka Pokucka“. Zrazu działo się to bezmyślnie, bez szczególnego zamiaru. Gdy żydzi podnieśli z tego powodu krzyk, wzbudzili tym sposobem, szczególnie na przedmieściach, poczucie odrębności chrześcijańskiej. Wyborcy przedmiejscy poczęli wołać:

— Nie chcemy mieć żyda posła — poseł musi być naszej wiary... niech będzie hrabia z Oleksiniec. Jaki on jest, zawsze lepszy od żyda.

Tym sposobem został hr. Młodzieński kandydatem chrześcijańskim.

W miarę wzrastania agitacyi, rosło niezadowolenie żydów, przeistaczające się w gorycz i zapamiętałość. Przypisywali oni głównie winę „agitacyi antysemickiej“, niesamowitemu redaktorowi „Kukułki“, za co zwrócono się przeciwko niemu czynami. Gitla Knobelduftowa, gdy przyszedł termin zapłaty wekslu, opiewającego na 450 koron, nie chciała go przedłużyć, lecz zaskarżyła i byłaby niezawodnie przeprowadziła grabież sądową ruchomości redaktora, gdyby nie był uiścił należytości wraz z procentami i kosztami. Jużci redaktor w opałach udał się z prośbą o pomoc do kandydata przez siebie gorąco popieranego, który mu też jej nie odmówił. Zajście to atoli wpłynęło zasadniczo na program „Kukułki“, która od tego czasu kamerton antysemicki nastroiła o cały ton wyżej, co stało się miarodajnem dla agitacyi, prowadzonej na korzyść hrabiego. Nastrój przeciwżydowski wzmógł się jeszcze bardziej, gdy żydzi, oburzeni artykułami „Kukułki“, pewnej nocy wybili szyby w oknach redakcyi. Roznamiętnianie się agitacyi zwiększało szanse hrabiego. Wzajemność między wyborcami chrześcijańskimi wzrastała, gdyż nawet najobojętniejsi z nich i tacy, którzy dawniej zawsze głosowali razem z kahałem, poczęli się skupiać pod sztandarem wyznaniowym, nadając głośno wyraz niechęci swej ku żydom. Hr. Młodzieński stał się tym sposobem wbrew swej woli kandydatem „antysemickim“, przeciwko któremu wytoczono grube działo w osobie rabina z nad Dunaju.

Obydwaj ci byli głównymi kandydatami.

Trzecim kandydatem, którego w części tylko brano na seryo, był adwokat lwowski dr. Maksymilian Turteltaub, popierany przez żydowskich postępowców i polskie stronnictwo wolnomyślne. Stał on poniekąd w środku, licząc na głosy w części chrześcijańskie, w części żydowskie. W istocie rzeczy ufał najwięcej środkom pieniężnym, którymi, jako człowiek bogaty, mógł szczodrze rozporządzać. Z początku szanse jego były nader słabe. Popierała go bowiem tylko garstka żydowskiej i chrześcijańskiej inteligencyi. Ogół lekceważył jego kandydaturę.

Dr. Turteltaub nie tracił bynajmniej otuchy. Jakoż wkrótce udało mu się znacznie polepszyć swe szanse jednym rzutem. Pozyskał dla swej sprawy najzawołańszego agitatora Samuela Goldstückla, działacza wyborczego, słynącego na całej połaci kraju od Lwowa po Czerniowce. Mówiono o nim, że gdzie sam czort nic wskórać nie może, tam posyła Goldstückla. Od wielu lat on wybierał radę gminną, on dawał miastu burmistrza, on mianował posłów do sejmu i parlamentu. Kahał tym razem posiadając go w komitecie miejskim pewny był zwycięstwa. Liczył bowiem na to, że Goldstückel „obrobi“ nie tylko Buczacz i Śniatyn, lecz także przyciągnie do obozu kahalnego znaczną część wyborców chrześcijańskich przedmiejskich, czem zwy-



cięstwo rozstrzygnie na korzyść rabina. Dlatego, gdy wierność jego dla kahału chwiać się poczęła, a on skłaniał się ku dr. Turteltaubowi, czyniono ze strony żydowskiej gminy wyznaniowej największe wysiłki, by go utrzymać przy sobie. Rokowano z nim. Ostatnie słowo kahalników opiewało: 10.000 koron na cele wyborcze bez obowiązku składania jakichkolwiek rachunków. Goldstückel targował się z Jojnem, rzeźnikiem kahału o więcej, w końcu uabrawszy przekonania, że większej kwoty nie da się uzyskać, zgodził się w zasadzie, lecz pod warunkiem, że dadzą mu trzy dni czasu do namysłu, zaś natychmiast pisemne zobowiązanie się wypłacenia powyższej sumy z góry na rękę, jeśli się zgodzi ostatecznie. Otrzymawszy pismo poręczające, wysłał je bezzwłocznie dr. Turteltaubowi do Lwowa dla poświadczenia wysokości oferty ze strony kahału, ponieważ warunkowy układ z ostatnim opiewał, iż dostanie od niego dwakroć większą sumę na rękę na koszta wyboru, nadto zaś jeszcze połowę tej sumy po przeprowadzeniu pomyślnem wyboru. Tym sposobem usiłował on się 25.000 koron, z których co najwięcej 10.000 liczył na wydatki, resztę zaś miał schować do kieszeni. Dr. Turteltaub oznajmił telegraficznie zgodę, a gdy oryginał umowy kahalnej wrócił ze Lwowa, Goldstückel dał „komitetowi miejskiemu“ odmowną odpowiedź i stanął otwarcie po stronie dr. Turteltauba.

Stary Abraham Jojne, największy bogacz miejscowy, trząsł się ze złości, złorzecząc mu. Inni kahalnicy zaklinali go na czem świat stoi, by nie sprzeniewierzał się sprawie żydowskiej. Dr. Turteltaub bowiem „żyd-tref“ przestał właściwie być żydem i stoi na równi z kandydatem *gojów*. Grożono mu nawet klątwą rabina. Wszystko na nic.

Ciąg dalszy nastąpi.



Jubilat Hipolit Wójcicki.

Migawki teatralne.

Utarty to komunał, że „stara gwardya“ to maruderzy, to weterani, którzy młodym zastępom pracowników z konieczności miejsce robić muszą. Komunał ten przyjął się, zwłaszcza w teatrze ma niejakie pozory słuszności ze sobą. Praca aktora jest męcząca i denerwująca i zużywa o wiele prędzej siły i zdrowie, niż jakiekolwiek inne zajęcie zawodowe.

Nie zawsze jednak to twierdzenie da się z rzeczywistością pogodzić. Właśnie na scenie — w tych ciężkich warunkach pracy umysłowej i egzystencyi materyalnej — napotykamy bardzo często żelazne jakieś konstytucye, niespożyte latami ni wysiłkiem umysłowym organizacye artystyczne. Dość wspomnieć z owej „starej gwardyi“ nieżyjących już Anastazego Trapszę, Deryngа, Marcelego Zboińskiego; z żyjących zaś na chlubę polskiej sztuki: Modrzejewską, Marcello, Lüdową, Rapackiego ojca i wielu wielu innych.

Do owej starej nieustraszonej gwardyi teatralnej należy bez wątpienia i dzisiejszy jubilat: Hipolit Wójcicki, artysta i sekretarz teatru krakowskiego. Artysta bardzo użyteczny i wszechstronny, a przytem skromny, nie roszczący sobie żadnych praw ni pretensyi do szczególniejszych względów i uznania... dyrekcyi.

Jednak oprócz „dyrekcyi“ istnieje jeszcze i publiczność, z którą zarówno każda impreza, jak i każdy aktor liczyć się musi. Publiczność bywa zazwyczaj sprawiedliwsza i wdzięczniejsza, niż spekulanci-dyrektorzy. Publiczność ta z uznaniem i przyjemnością przypomina sobie, że wśród cichych długoletnich pracowników polskiej sceny — znachodzi się dziś pewien jubilat, któremu i my z obowiązku publicystycznego — składamy na tem miejscu wyrazy uznania za długoletnią owocną pracę, jak również i życzenia, by szczęśliwie i zdrowo 50-letnich godów ze sceną — doczekał!

Przypatrzmy się bliżej osobie jubilata!

Hipolit Wójcicki wcześnie rozpoczął artystyczną karyerę. Ukończywszy szkołę dramatyczną w Warszawie, wstąpił w r. 1869 na deski teatralne. Ciernistym i niepewnym był zawód polskiego aktora w owe czasy. To też i Wójcicki zmieniał ustawicznie swych „dyrektorów“, szukając usilnie właściwego dla siebie terenu pracy i bytu materyalnego.

Po dłuższej artystycznej wędrówce po różnych prowincyonalnych teatrach w Królestwie Polskiem — założył do spółki z kolegą swym B. Kremskim, własne towarzystwo dramatyczne, z którego wyszło wielu zdolnych i użytecznych aktorów — rozprószonych dziś po wszystkich scenach polskich.

W r. 1882 po rozbiciu się własnego „towarzystwa“ — przenosi się na scenę krakowską. Tu pracuje kolejno pod czterema dyrektorami: Koźmianem, Gliksonem, Pawlikowskim no i... Kotarbińskim. Przez ten czas zdobył sobie niepodzielnie sympatyę publiczności, a zwłaszcza uczącej się młodzieży.

Wydział jaki najbardziej odpowiada indywidualności artystycznej i talentowi jubilata — są to role charakterystyczno-komiczne, zwłaszcza starego repertoaru Nestroya i jemu współczesnych.

Wójcicki należy do jednej z najpopularniejszych figur na bruku krakowskim. Znany pod pieszczotliwem mianem „Wójcia“, otaczany czcią i przyjaźnią krakowskiego obywatelstwa — dorobił się uznania i prawdziwej sympatyi.

Gdy obecna dyrekcya teatru krakowskiego — zazdrosna o powodzenie „Wójcia“ — chciała go par force usunąć ze skromnego zresztą stanowiska sekretarza teatru, opinia publiczna we wcale niedwuznaczny sposób oświadczyła swoje sympatye za sekretarzem teatru.

Pod jej presyą — zmuszeni zostali Kotarbińscy — do zatrzymania p. Wójcickiego na dawnem stanowisku.

Hipolit Wójcicki, mimo poważnego swego wieku, cieszy się czerstwem zdrowiem i dobrym wyglądem. W życiu rodzinnem jest szczęśliwym ojcem kilkorga dzieci, z których najstarsza córka, zamężna we Lwowie, jest bardzo zdolną literatką i komedyopisarką.

W dniu jubileuszu dnia 6 grudnia b. r, zasłużonego artysty danem będzie w miejskim teatrze krakowskim uroczyste przedstawienie.

Odegraną zostanie komedya Fredry „Damy i huzary“, w której goszczący na scenie Kazimierz Kamiński z grzeczności i przyjaźni dla Jubilata wystąpi w roli Kapelana. Majora odegra p. Wójcicki.

* * *

Humor — to cenny i rzadki dar Nieba. Ołtarze humoru — to redakcye wydawnictw humorystycznych i sceny, poświęcone lżejszemu rodzajowi sztuki.

Dobrych komików, owych „augurów“ humoru nie wielu byśmy w Polsce naliczyli. Jest w Warszawie Rufin, Morozowicz, Winkler, Myszkowski, Pol... U nas w Galicyi doprawdy wielka posucha w tym względzie. Po zmarłym Skalskim i straconym bezpowrotnie dla Galicyi Myszkowskim — berło wielkiego augura komizmu dzierży od lat wielu — Andrzej Lelewicz.

Pierwsze kroki artysty stawiał Andrzej Lelewicz na krakowskiej scenie, za czasów dyrekcyi Koźmiana w historycznej starej „budzie“ przy Placu Szczepańskim. Ciężkiem jest jednak stanowisko młodego a uzdolnionego aktora wobec starych „zasiedziałych“ i uznanych artystów. Uzurpują oni sobie wyłączne prawo do najlepszych ról, nie dopuszczając do wykazania zdolności młodszym swym kolegom. Ci „młodzi“ są zawsze kopciuszkami każdej sceny, narażeni poza tem na docinki, lekceważenie i sekatury „starych“. Najżyczliwiej usposobiony dla młodych dyrektor — musi się jednak liczyć z cichą opozycyą „starych“.

Zrozumiał to i młody Lelewicz i dawszy pożegnanie Muzie z Szczepańskiego Placu, spakował dnia pewnego swoje manatki i za przykładem swoich kolegów puścił się na prowincyę — w artystyczną tułaczkę za sławą i chlebem. Był członkiem sławnych podówczas towarzystw: Piaseckiej, Woźniakowskiego, Baczyńskiego i Lasockiego, obecnie rządowego kapelmistrza warszawskiej operetki.

Pod znakomitym kierownictwem Woźniakowskiego zwłaszcza — rozwinął młody artysta w całej pełni swój talent. Widząc jednak, że wartość jego nie pozostaje w żadnym stosunku do mizernej i niezawsze wypłacanej gaży – postanowił na własną rękę pracować.

I wkrótce zabrzmiało w Galicyi nazwisko Lelewicza, jako znakomitego w swoim rodzaju komika-monologisty.

Jeździł po Galicyi, był i w Królestwie polskiem, aż wreszcie po długich latach tułaczki i zmienności losów — został zaangażowany na lwowską scenę.

Talent Lelewicza należy do rzędu „płaskiego komizmu“. W technicznem tem określeniu nie należy jednak dorozumiewać się jakiegoś lekceważenia lub ujmy do wybitnych zdolności tego artysty. W istotę „płaskiego komizmu“ wchodzi jowialność rubaszna, zacięcie operetkowe i ów pierwotny naiwny a silny humor. Wszak płaskim komikiem był po dziś dzień niezapomniany Tadeusz Skalski, jest nim i Morozowicz w Warszawie i Myszkowski i Pol, choć talent tego ostatniego, który w ludowym warszawskim teatrze zadziwiająco się rozwinął — obejmuje już dzisiaj coraz szersze horyzonty twórczości.

Godnych ich rywalem jest we Lwowie Andrzej Lelewicz, który jako znakomity aktor pozyskał sobie serce publiczności i pióra krytyki.



Andrzej Lelewicz.

Rzetelną pracą — jako artysta, prawością charakteru, jako człowiek, zasłużył sobie na to, a Kraków dumnym jest z tego, że lubiany we Lwowie Jędruś jest prawem dzieckiem grodu podwawelskiego.

Z TYGODNIA.

Kraków, pan dobry — Cmentarz psów i kotów — Co robi nasza policya? — Przyszłość galicyjskiej młodzieży — Samobójstwo studenta — Strejk uczniów szkoły leśniczej we Lwowie.

Kraków - pan dobry o rozrzutnej dłoni
Którego znana dobroczynna władza:
Żyć swym poddanym dobry pan nie broni,
Tem bardziej umrzeć nigdy nie przeszkadza,
Z jakiegokolwiek jest ta śmierć powodu:
Z zarazy, wojny, lub — (najczęściej) — z głodu!

Ale nietylko dba o swe ludziska,
Nawet dla zwierząt wiele czynić gotów:
Oto urządza wielkie cmentarzyska
Dla psów bezdomnych, a zbłąkanych kotów.
Tam wypełniają rowy i rynsztoki
W walce ze życiem podłe zwierząt zwłoki.

Na Lubomirskich ulicy — przy szkole
Stworzono owo cmentarzysko zwierząt,
Ja sobie jednak zapytać pozwolę,
Prześwietnej Gminy Zarząd czy też Nierząd
Czy wobec tego (odpowiedź tu łatwa)
Może być zdrową biedna szkolna dziatwa?

A gdzież policya? — może kto zapyta
(Jeżeli nie zna co to polityka) —
Policya inne ma sprawy — i kwita!
I w żadn rynsztok nosów swych nie wtyka
Ni takim sprawom śmierdzącym nie służy...
Nie na to z Wiednia dostała nos duży!..

Wielbiłem dotąd nasz kraj sprzeniewierzeń
Gdym do rozumu przychodzić zaczynał
Kraj, który według skromnych mych spostrzeżeń
Puste ma szkoły — a pełny kryminał,
Kraj, w którym blaga li tylko popłaca,
Kędy na marne idzie każda praca!

A nasza młodzież!.. No kwiecie narodu!
Czyż z pesymizmem nie jest jej do twarzy?
Gry rozbrat z życiem bierze bez powodu,
Zamiast stać twardo na społecznej straży!
Z własną głupotą w bezcelowej bójce
Giną nieletni biedni samobójce!..

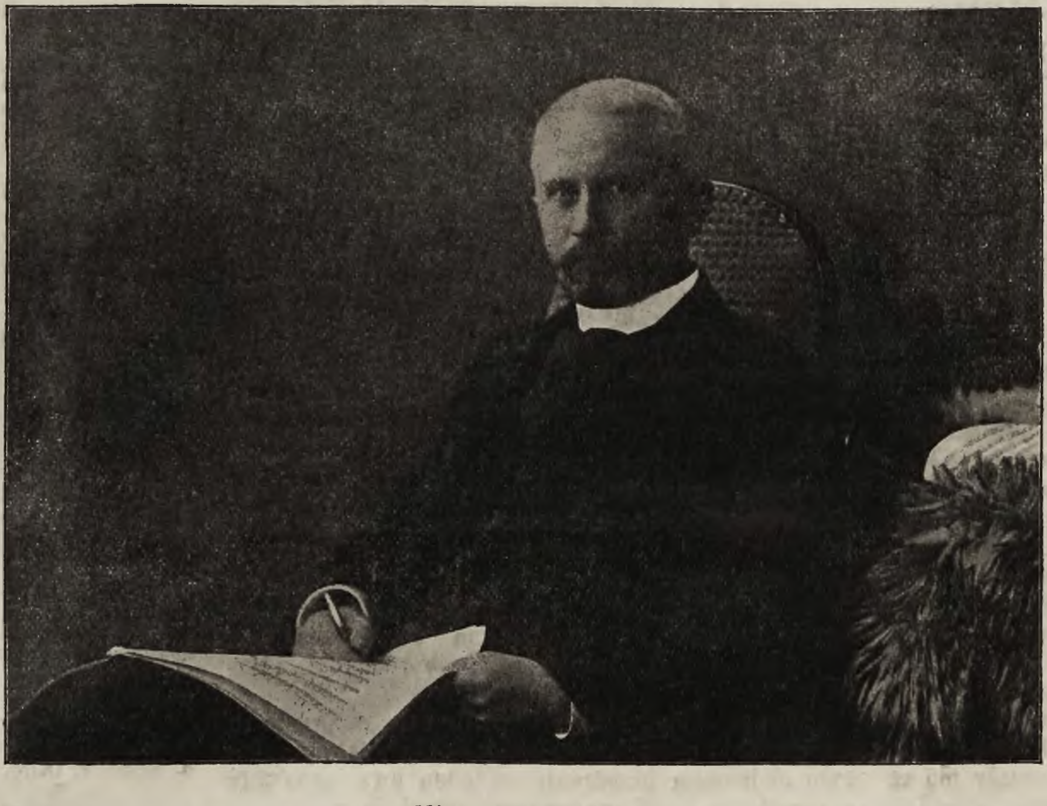
Inni praktyczniej znów się urządzają
(Jak przykład: szkoła leśnicza we Lwowie)
I miast przed życiem — przed szkołą zmykają,
Twierdząc, że dość już mają wiedzy w głowie.
I solidarnie zrobili strejk wielki
I solidarnie suszą dna butelki.

Przestańcie dzieci, bo się źle bawicie!
Nic nie zyskacie na tej czasu stracie!
Bo celem życia nie jest tylko picie,
A na te strejki to jeszcze czas macie!
Gdy słów rozsądku nie chcą słuchać mózgi,
W innym kierunku — pouczają rózgi!..

Krk.

Mieczysław Sołtys.

Stare przysłowie, iż nikt w ojczyźnie swej nie jest prorokiem, nie zawsze — acz w wyjątkowych wypadkach, sprawdza się tam, gdzie w parze z wybitnym talentem, postępuje wytrwała, konsekwentna i świadoma celu praca — spełniająca swe zadania bez oglądania się na większe i mniejsze przeciwności, których losy nie skąpią nikomu. Dziecko Lwowa (ur. 7 lutego 1863), obecny dyrektor Gal. Tow. Muz. i kierownik najpoważniejszej w kraju uczelni muzycznej — prof. Mieczysław Sołtys, może być śmiało uważanym za jednego z tych nielicznych, który wytrwałą pracą zdobył sobie nie tylko szacunek współobywateli, ale i tak trudne do zdobycia uznanie wśród nerwowego i nie zawsze lubiącego oddać co należy społeczeństwa... melomanów i muzyków — bo wytrwałej tej pracy, przyświecała jasnym blaskiem płonąca gwiazda... talent.



Mieczysław Sołtys.

Lata wczesnej młodości, owe lata sielskie-anielskie, a szczególniej piękne chwile wolności wakacyjnych spędził Sołtys w Wojciechowicach, uroczej, okolonej lasami, wioseczce małoruskiej, pojąc się czarami przyrody, rozkoszami poezyi wiejskiej, której tyle w duszy kmiotka naszego, składającego swe bole i radości w pieśni. Ona to urobiła mu duszę, dając jej samodzielność i charakter zdecydowany a prawy. W gimnazyum nie należał Sołtys do najpilniejszych uczni. Zaniedbywał się w przedmiotach tych, które nie przedstawiały dlań jakiegokolwiek interesu, zaś pilnie i pracowicie studyował te, które pociągały i nęciły jego umysł. Najwięcej pociągały go języki nb. w poezyi, a nadewszystko łacina — zachęcony przez nauczyciela zaczął nawet przekładać wierszem „Enejdę“, tworzył poezye liryczne, dramaty i powieści. Komponować zaczął wcześnie, zakreślając pracę na szerokie ramy, lecz czując, że samo natchnienie nie wystarcza, rozpoczął pracować szczerze nad zasadami harmonii i gry fortepianowej.

Po przejściu koniecznej w naszych stosunkach społecznych, sakramentalnej furtki do życia, „matury“, zapisał się na wydział prawny, lecz miast ślęczeć nad paragrafami, wolał ślęczeć nad ukochaną muzyką, której oddał się teraz całkowicie pod kierunkiem takiego majstra, jakim był ś. p. Karol Mikuli.

Rok 1887 był chwilą decydującą w życiu młodego artysty. W roku tym bowiem zamianowany profesorem historyi muzyki w lwowskiem konserwatoryum otrzymuje za wpływem Mikulego urlop i zasiłek do studyów za granicą. Pierwszym etapem naukowej podróży był Wiedeń. Tu studyuje u Fr. Krena i Hirschfelda, bierze żywy udział w życiu muzycznem naddunajskiej stolicy.

Młody, chciwy wiedzy artysta zapragnął poznać Paryż, a przedewszystkiem mistrza Saint-Saënsa, którego utwory słyszane u Filharmoników wiedeńskich wywarły na nim olbrzymie wrażenie. Saint Saënsa w Paryżu nie zastał, lecz wytrwały w zamiarze, postanowił zaczekać na jego przyjazd, który też niebawem nastąpił. Dzięki poleceniom, a szczególnie przedstawionej partycyi kilku chórów z pierwszej opery swej „Panie Kochanku“ uzyskał uznanie mistrza, który, poleciwszy Sołtysowi zapisać się do szkoły organowej (Institut d'Orgue) Eugeniusza Gigout, pozwolił młodemu artyście bywać na swych zebraniach i udzielał mu cennych rad i wskazówek.

W czasie tym zmieniły się stosunki muzyczne we Lwowie. Mikuli ustąpił z Towarzystwa muzycznego i założył własną szkołę, w której Sołtys przyjął stanowisko nauczyciela gry fortepianowej, lecz nie na długo. Żądny wiedzy wyjeżdża znowu do Paryża, gdzie przez sezon studyując uzupełnia swą wiedzę. Po powrocie do kraju, obejmuje posadę prof. konserwatoryum i prof. muzyki w seminaryum, a nadto i referat muzyczny w „Przeglądzie“. W czasie tym powstaje wiele kompozycyi, Sołtys wykończa operę komiczną „Panie Kochanku“, koncert fortepianowy z orkiestrą, wiele dzieł na orkiestrę symfoniczną, a nadto drobniejsze utwory muzyczne. Największe dzieło Sołtysa, imponujące oratoryum, wykonała „Lutnia“ lwowska po raz pierwszy 7 października 1895.

W r. 1897 stanął Sołtys na czele „Wiadomości artystycznych“, które redaguje aż do chwili, w której obrany dyrektorem Towarzystwa muzycznego, zmuszony był złożyć ster pisma, w ręce swego ucznia p. Stanisława Bursy.

Od r. 1899 działając i pracując na stanowisku dyrektora Galicyjskiego Towarzystwa muzycznego i konserwatoryum we Lwowie, podniósł niveau pojęć muzycznych i ogólnej muzykalności.

W roku zeszłym zamianowany przez rząd przewodniczącym komisyi egzaminacyjnej dla nauczycieli muzyki — rozpocznie niebawem nowy etap w swej zbożnej działalności, w której wspiera i krzepi go gorąca miłość dla sztuki i zapał młodzieńczy.

s. b.

TAJEMNICZA WILLA

(Z opowiadań włamywacza na tle prawdziwych zdarzeń).

Z angielskiego przełożył
KAZIMIERZ E.

10 (Ciąg dalszy)

Zdziwiony, spojrzałem bacznie na dobrotliwie uśmiechniętą twarz pana Follena.

— Jak pan to pojmujesz? co pan pod tem rozumiesz? — zapytałem, drżąc cały ze wzruszenia.

— Poprostu możesz pan sobie zarobić wcale przyzwoitą sumkę, powiedzmy jakie dziesięć do dwudziestu tysięcy marek, a potem z tym podstawowym kapitalikiem rozpoczniesz całkiem nowe życie, zostaniesz uczciwym człowiekiem! Powiedziałem jednak: „możesz pan sobie zarobić“...

— A to w jaki sposób? — zagadnąłem gorączkowo.

— W ten sposób, żebyś pozostał jeszcze czas jakiś w mej willi i jak dotychczas dalej odstępował mi tyle krwi, ile zapotrzebuję i ile bez żadnej szkody dla siebie jesteś mi w stanie odstąpić. Z własnego doświadczenia wiesz pan, że warunek to nie jest zbyt ciężki.

— Całkiem słusznie! Z ochotą nawet przyjmuję pańską propozycyę. Ale czy pan może mi zaręczyć panie doktorze, że taki ciągły ubytek krwi nie zaszkodzi memu zdrowiu.

Profesor Follen nerwowo poruszył się na krześle.

— Jestem uczciwym człowiekiem, mój panie, i pewnie nie zwracałbym się z podobnem żądaniem do pana, gdybym sądził że twe życie, lub zdrowie przez to na szwank narażam!... A zresztą powiem ci, dlaczego chcę cię zatrzymać, choć mógłbym na twe miejsce bardzo łatwo znaleść kogo innego. Oto znam właściwości twej krwi i wiem, że jest ona zdrową w całym tego słowa znaczeniu, podczas, gdy u kogo innego musiałbym ją dopiero próbować i kto wie jak prędko trafiłbym na odpowiednie medyum. Zresztą powiem i to otwarcie, że od czasu, jak jesteś w naszym domu, mojej biednej córce znacznie się polepszyło... Mam więc nadzieję, że przy twej pomocy uda mi się ją całkiem wyleczyć, a wówczas mógłbyś żądać odemnie wszystkiego! Z wdzięczności nie byłbym w stanie niczego ci odmówić!...

— Więc zgoda! — odrzekłem, wyciągając dłoń do profesora i daj Boże, abym istotnie przyczynił się do uzdrowienia tego nieszczęśliwego dziewczęcia.

Follen uścisnął mi rękę i wyszedł, a ja zamyśliłem się nad tem, jakie życie będę prowadzić, opuściwszy wreszcie tę willę.

— — — — — — — — — — — —

Od chwili, w której stanął ten układ, przestano uważać mnie za więźnia. Doktor Follen był przekonany, że nie umknę z willi i przestał pilnować mnie na każdym kroku. Mogłem więc poruszać się całkiem swobodnie, przesiadywać całemi godzinami w ogrodzie bez asystencyi Franciszka, którego towarzystwa szukałem jednak bardzo często z nudów i z powodu serdecznej przyjaźni, jaka zrodziła się w mem sercu dla tego poczciwego chłopca.

A jednak, chociaż wolno mi było włóczyć się po całej willi, do jednego pokoju miałem wstęp surowo wzbroniony. A to nie wolno mi było przestąpić progu tej izby, w której raz już byłem, a w której mieszkała nieszczęśliwa ofiara upiorów, panna Teresa.

A przecież z taką ciekawością byłbym ją zobaczył! A przecież tak chciałem na własne oczy zobaczyć, jakie skutki wywołała ta moja krew, którą jej ofiarowałem!...

Kilka razy zwracałem się do profesora Follena z prośbą, aby pozwolił mi zobaczyć swą córkę, ale zawsze spotykałem się z odmowną odpowiedzią.

— Moja córka umarłaby ze strachu, gdyby tak nagle i niespodzianie stanął przed nią człowiek, który ją podtrzymuje przy życiu krwią swoją — mówił pan Follen. — Ona do tej pory nie przypuszcza nawet, że w jej żyłach płynie krew obca, bo operacyę wstrzykiwania pańskiej krwi podejmuję wówczas dopiero, gdy ona leży na swem posłaniu prawie bez życia!

— Na takie *dictum acerbum* nie miałem i nie mogłem mieć jednego argumentu. To też tem więcej zdziwiłem się, gdy w parę tygodni później Franciszek z uradowaną miną wszedł do mego pokoju i oznajmił mi z wesołym uśmiechem:

— No! niech się pan przygotuje na dobrą nowinę! Pańskie życzenie, aby zobaczyć pannę Teresę, niebawem będzie spełnione! Tak! niech pan na mnie nie spogląda takiemi zdziwionemi oczyma! Powiadam panu, że niebawem zobaczysz pan tę, której formalnie uratowałeś życie!...

— Na Boga! — zawołałem gwałtownie — to mnie więcej cieszy, niż gdyby mi kto ofiarował sto funtów szterlingów! Ach skąd ty wiesz o tem, Franciszku?!...

— Wyobraź pan sobie, że panna Teresa jest już znów zupełnie zdrowa! Doprawdy wierzyć się w to nie chce!

Wspomniałem sobie słowa pana Follena i wyszeptałem:

— Hm! mówią, że nie ma na świecie rzeczy, któraby była niemożliwą!

— A wie pan — mówił dalej Franciszek — dlaczego panienka, która była prawie umierająca, dziś znowu cieszy się prawie kompletnem zdrowiem?

— Nie! nie domyślam się nawet! — odrzekłem całkiem otwarcie.

— Uważa pan! — szepnął z tajemniczą miną Franciszek — o n nie przychodzi już więcej do panienki!...

— Kto? ten upior?!... a skądże wy wiecie o tem?!... C. d. n.

W redakcyi „Maczugi“.

Szef redaktor poczytnego dziennika „Maczugi“ zajęty był przy biurku „robieniem“ telegramów, które bądź to wycinał nożyczkami z innych gazet, bądź też wprost wytwarzał z bujnej wyobraźni.

Ale — pardon! Przedewszystkiem objaśnić wypada, że „Maczuga“ wychodziła w Ameryce, w państwie Texas, sławnem na całe Stany ze swej doskonałej śmietanki, która, jeżeli jej nie odesłano do innych państw, zazwyczaj kwaśniała na miejscu.

Główne miasto Galweston było istnym Babilonem narodu, składającego się z byłych i obecnych rzezimieszków, zbójów i różnego autoramentu awanturników, tu i ówdzie okraszonego jakby dla decorum, uczciwszym człowiekiem. Godną podziwienia była ta stolica z tej przyczyny, że tam każdy co drugi mieszkaniec był „jenerałem“ albo „sędzią...“ Jasny dowód, że obywatelstwo tamtejsze nie tylko, że było waleczne i zamiłowane w sztuce wojennej, ale miało poczucie prawa i słuszności — jak to już nawet Mark Twain skonstatował w swoich listach z podróży.

Dziennik „Maczuga“, pismo czcigodne, zupełnie jak jego redaktor Hundspeth „uciekły“ kasyer z Berlina — wychodził z największą regularnością; materyału ciekawego dostarczały mu aż zanadto wiele kroniki policyjne, pełne nazwisk owych sędziów i jenerałów!...

W chwili, o której piszemy, wstąpił do biura redakcyjnego młody, barczysty mężczyzna. Bez ceremonii podszedł do redaktora i zapytał:

— Czy to pan jesteś Hundspeth, najsławniejszy amerykański dziennikarz?

— Tak!... a pan? — odrzekł redaktor sięgając po leżący na biurku rewolwer.

— Zostaw pan tę pukawkę — ciągnął spokojnie przybyły — ja mam też w kieszeni coś podobnego. Przychodzę do pana z propozycyą zrobienia doskonałego interesu.

— A... masz pan stada na sprzedaż? Jakże szanowne nazwisko?

— Jack Tolmer!... Widzę, że pan mnie nie zna... Ażebyś pan nabrał do mnie zaufania — przedstawię się: Byłem cieślą w dokach, potem tancerzem na linie, później nauczycielem języka hiszpańskiego w pensyonacie u pani Smithwon, wreszcie roznosicielem pieczywa i tłukłem kamienie.

— Bardzo to zacnie, ale...

— Ale niczego jeszcze nie dowodzi, chciałeś pan powiedzieć. I słusznie. Tembardziej, że zarzuciłem wszystkie te zajęcia i zostałem kasyerem w handlu mydła. Skutkiem małego nieporozumienia musiałem jednak i ten fach opuścić.

— O! cóż to za nieporozumienie?

— Brak formalności... Kupiec zażądał odemnie rachunku z tygodnia, a ja proponowałem sprawozdanie kasowe roczne. Wybiłem mu oko i wymówiłem mu miejsce.

— Dobrze mu tak! A potem?...

— Potem założyłem towarzystwo akcyjne celem eksploatowania złotych pokładów w Nebrasce. Byłem prezydentem a zarazem buchalterem i kasyerem towarzystwa. Akcye rozeszły się w mgnieniu oka. Nieszczęściem, nie mogłem zaraz na pierwszem walnem zgromadzeniu akcyonaryuszy wskazać dokładnie, które to miejsca w Nebrasce mają te złotodajne żyły — zrobił się rumor, akcye zleciały na 19% swojej wartości, a ja jako uczciwy bankier, skupiwszy je wszystkie, rozwiązałem towarzystwo.

— Bardzo szlachetnie z pańskiej strony.

— A teraz przyszedłem do pana, ażeby mu zaproponować spółkę w doskonałym a pewnym interesie.

— Zamieniam się w ucho.

Przedewszystkiem potrzeba mi pańskiego nazwiska, które brzmi cokolwiek przerażająco: Hundspeth! Chodzi o to, żeby się go lękano.

— Dalej?

— Dasz nam pan do dyspozycyi swój dziennik.

— Dla reklamy — rozumiem. Ale, przepraszam za niedyskrecyę... Któż są ci „my“, o których szanowny pan wspomina?

— Któż inny, jeżeli nie pan i ja? Następnie oddasz pan nam do dyspozycyi swoją drukarnię. Co do zysku — pójdziemy na połowę.

— Za pozwoleniem! moje pismo i moja drukarnia? Ja muszę mieć co najmniej trzy czwarte czystego!...

— Ani gadania, łaskawy panie! Ja daję pomysł i redaguję rzecz.

— Choćby!... Dasz mi pan zatem dwie trzecie.

— Zgoda! Od jutra tedy zaczynamy robotę.

— Z chęcią, drogi kompanionie... Wybacz ciekawości, ale radbym wiedzieć...

— O co chodzi?! A — prawda! Otóż wydamy dzieło. Wspaniałe dzieło w literackiem i artystycznem obrobieniu wprost imponujące, jakiego dotąd świat nie widział i widzieć nie będzie: „Album złodziei w Teksas“.

— Rozumiem! świat nie widział...

— I widzieć nie będzie. Niechże pan usiądzie, i napisze reklamę dla tego wydawnictwa.

— Natychmiast.

Redaktor chwycił za pióro i na drugi dzień rano czytała ludność w Galwestonie artykuł następującej treści:

„Firma Tolmer i Hundspeth wyda w niedługim czasie wspaniałe album najznakomitszych nicponiów, którzy mieszkańców stanu Teksas okradają lub oszukują, słowem wszystkich gałganów i złodziei, prowadzących pod maską porządnych obywateli swoje szalbierczo-kryminalne rzemiosła. Zdziwi się każdy, ujrzawszy nazwiska i portrety tych łotrów. — Dzieło wychodzić będzie w zeszytach rozsyłanych po całych Stanach Zjednoczonych. Przedpłatę przyjmuje się tylko na pierwszą część, to jest na dwadzieścia sześć zeszytów w kwocie 100 (sto) dolarów – w redakcyi „Maczugi“.

W ten sam dzień jeszcze dwustu czterdziestu „najporządniejszych“ obywateli Galwestonu złożyło cichaczem przedpłatę na jeden dwa, albo trzy egzemplarze... W przeciągu tygodnia z całego państwa Teksas kilka tysięcy nadeszło przekazów po 100 dolarów, a czcigodny pan Hundspeth nie mógł nadążyć z pisaniem kart przedpłaty!... Tolmer otwierał co dzień setki listów, z których każdy podawał redakcyi materyał na jedną lub kilka sylwetek do albumu... Oczywiście anonimowo!...

Hundspeth zajmując się administracyą, nic o tych listach nie wiedział; Tolmer zaś, jako człowiek, ściśle sumienny, obchodził wymienionych w owych listach obywateli, pokazywał im z oburzeniem ich nazwiska tamże napiętnowane — no i co państwo powiecie?... Przekonał się z ust samych dotyczących osobistości, że to wszystko kalumnie niegodziwe i wynosił od każdego takiego jegomościa parę setek... za fatygę!

Zrobiło mu to sporą sumkę, z której oczywiście Hundspeth ani centusia nie zobaczył... i po trzech tygodniach, gdy pewnego dnia Tolmer wcale się w redakcyi nie pokazał, a podejrzliwy redaktor wyleciał na miasto, aby pomyszkować — wyszła oliwa na wierzch! Z Tolmera nie zostało śladu...

Hundspeth wydał tylko pierwszy i ostatni zeszyt „wiekopomnego“ albumu, w którym umieścił portret i sylwetkę... Tolmera – jako jedynego złodzieja i nieporzciwego oszusta w Teksas! W doniesieniu od redakcyi ogłoszono:

„Ponieważ w całem naszem państwie niepodobna było znaleźć drugiego takiego złodzieja — zamykamy przeto tym pierwszym zeszytem nasze wydawnictwo... a wydamy zeszyt następny dopiero wówczas, gdy się znów jakiego łotra dopatrzymy.“

Publiczność uznała słuszne powody redakcyi i czekała cierpliwie a mądrze, nie żądając wcale zwrotu prenumeraty.

A nareszcie bo i od kogo było jej żadać, gdy w niespełna parę tygodni cała „Maczuga“ ulotniła się gdzieś cichaczem z Galwestonu, adresu nie zostawiwszy? *Pablo.*

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarada zgłoskowa.

Pierwsze i *drugie* już od dawna służy,
Przy każdej, byle nie pieszej podróży,
Chociaż w dzisiejszej wynalazków dobie
W kontakt z niem nieraz wchodzą nogi obie
I pędzi człowiek jak strzała po świecie,
Byle omijał zdala *czwarte trzecie.*
Drugie i *trzecie* ciężka to robota
Lecz nieraz wiodą z kamienia do złota.
Gdy *czwartych* więcej, mówią wtedy *trzecie*
A *czwarte czwarte* koło kur znajdziecie.
Całość to miasto piosnkami wsławione,
Co jego mianem zostały ochrzczone.

Logogryf ze zmianami liter.

W wyrazach:

S i w y
T l e n
W y n i k
S t e p
L u t y
P n i e
O a z y
J e l e ń
B r a t e k
Ź l e

Zastąpić początkowe i końcowe litery innemi, ażeby się utworzyły inne wyrazy, których początkowe i końcowe litery, czytane z góry na dół, dawałyby nazwisko polskiego kompozytora oraz nazwę jego utworu.

Znaczenie wyrazów: 1. Napój. 2. Miasto w Azyi. 3. Jarzyny. 4. Lek. 5. Roślina. 6. Słówko łacińskie. 7. Naczynie. 8. Metal. 9. Otwór wulkanu. 10. Zaimek.

Zadanie krzyżowe.



W załączonej figurze przestawić litery w ten sposób, aby otrzymać trzy wyrazy jednakowo czytane w kierunku poziomym i pionowym.

Znaczenie wyrazów: 1. Miara czasu. 2. Powlekanie przedmiotu metalicznego innym metalem. 3. Dawna nazwa włościanina.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych, przeznacza się jako nagrodę: **„Humoreski Stasiaka“.**

Rozwiązania z Nru 8.

Rebus: Ulice miasta oświecamy latarniami pola i dąbrowy oświecają księżyc i gwiazdy.

Łamigłówka: Gołuchowski.

Szarady: 1. Pilnikarze. 2. Powała.

Dobre rozwiązanie nadesłali: Walczak, Kamińska, Polończykowa, Stano, Rogalski. Sarkowski, Damian, Dyrkowski, Szlepkowska, Rüdmann, Sobolski, Janowska, Biłhorajski, Stepan.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Rüdmann we Lwowie. Prosimy o nadesłanie 50 hal. na koszta przesyłki.

HOTEL I RESTAURACYA „METROPOLE“
KRAKÓW, ULICA ŚW. GERTRUDY L. 28
poleca Szan. P. T. Publiczności bardzo elegancko urządzona na wzór zagraniczny pokoje od 2 K wyżej. Obsługa szybka.



Hotel posiada 40 eleg. urządzonych na wzór zagraniczny pokoi od 2 K. Ogród z werandą.

Stacya kolei elektr. Telefon do użytku P. T. Gości. Obok hotelu gł. urząd poczt. i telegr.

Znakomita kuchnia domowa. Potrawy b. smaczne w wielkim wyborze po przystępnych cenach. Piwo pilzneńskie beczkowe. Obsługa szybka i rzetelna. Z poważaniem S. KUBIE.

»ARS«

Salon sprzedaży

rzeźb i obrazów

artystów polskich

Otwarty w dnie powszednie od 10—12 z rana i od 2—4 po południu

9-13 Bracka 1, I. piętro.

REIM i SPÓŁKA

Linia A-B • • Kraków • • Rynek 37

polecają najtaniej:

Na drzewko!

Dekoracye ukompletowane do ubrania drzewka od 2 do 12 koron.
Ozdoby na drzewko z lamety, szkła, papieru, waty i żelatyny.
Podarki na gwiazdkę w największym wyborze, jakoto: Mydła i perfumy w eleg. kasetkach.
Kotwiczne skrzynki budowlane Richtera.
Szachownice, Domina i różne gry towarzyskie.
Kompletne kasetki z przyborami do robót piłeczkowych, do malowania i wypalania.
Przyrządy gimnastyczne pokojowe.
Siłomierze: «The Whitely» i «Ideal».
Łyżwy śniegowe »Ski«.
Aparaty i preparaty do upiększania twarzy i rąk.
Kalosze rosyjskie.
Rogóżki, Chodniki, Ceraty.
Wyroby szczotkarskie.
Przybory do czyszczenia wszelkich metali.
Środki desinfekcyjne.
Spluwaczki hygieniczne od 6 halerzy sztuka.

Cenniki darmo i opłatnie.
Dwa razy dziennie wysyłki pocztowe.

M. BOJARSKI, ZEGARMISTRZ
W KRAKOWIE, UL. FLORYAŃSKA L. 4

poleca wielki skład zegarów kieszonkowych i zegarów pendułowych najlepszych fabryk.
=Przyjmuje reperacye=

7-15

Bazar amerykański

A. SCHEUER

KRAKÓW, UL. GRODZKA L. 59

poleca
najgustowniejsze **podarunki** i najładniejsze
ZABAWKI.



Instrumenta muzyczne wszelkiego rodzaju najtaniej, jakoto: Harmonie, mandoliny, skrzypce, gitary, tudzież arystony i t. p.



Wielki wybór artykułów toaletowych i galanteryjnych.



Paryskie artykuły gumowe i hygieniczne.
Bielizna wszelkiego rodzaju.
Prawdziwe rosyjskie kalosze.

Klinika lalek na miejscu!

Cenniki illustrowane darmo i opłatnie.

Wystawa gwiazdkowa na I. p.

Do sprzedania **Hotel Union, Kraków** ul. św. Gertrudy L. 27.
Elegancko urządzony i umeblowany, 30 pokoi, suteryny konces. do zamieszkania. Restauracya z Kawiarnią i Sala teatralna z wszelkiemi przyborami. **Cena 80·000 złr., potrzebna gotówka 21·000 złr.** Wiadomość: Broczkowski, Kraków, Blichowa l. 30. 7-10



HARRY FROMMER
KRAKÓW, UL. GRODZKA L. 9
FABRYCZNY SKŁAD
KAPELUSZY I CYLINDRÓW
BIELIZNA MĘSKA, KRAWATY
RĘKAWICZKI i t. p.
NOWOŚCI KAŻDEGO SEZONU!
Towary najlepsze — Ceny najniższe!

Już opuścił prasę

Kalendarz „Bociana“

na rok 1905
Cena 1 Korona.

ORYGINALNE SINGERA MASZYNY do SZYCIA

Imię

„SINGER“

jest dla maszyn do szycia

skutkiem światowej sławy, jaką sobie nasza fabryka zjednała przez 50-letnią sumienną działalność — najlepszą gwarancyą wyborowego materyału i wzorowej konstrukcyi. To właśnie jest powodem, dla którego wiele innych fabryk i firm, trudniących się sprzedażą maszyn do szycia, usiłują sprzedawać maszyny do szycia pod wprowadzonemi przez nas oznakami, naprzykład: **„Central-Bobbin“** a nawet pod nazwiskiem **„Singer“**.

Nie należy zatem pozwolić się tego w błąd wprowadzać, przy kupnie zaś maszyny do szycia zapytać się wprost, czy takowa pochodzi od naszej firmy i nie zadawalniać się wymijającemi odpowiedziami.

Singer Comp.

Towarzystwo akcyjne Maszyn do szycia

Kraków: ul. Szpitalna 40 naprzeciw teatru miejskiego, Kazimierz, ulica Wolnica.

Filie w Zachodniej Galicyi: **Tarnów: ulica Krakowska 4/5. Rzeszów: Trzeciego Maja 5. Nowy Sącz: ulica Jagiellońka. Chrzanów: Rynek.**

Najtańsze pismo humorystyczne

„BOCIAN“

wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca

Adres Redakcyi i Administracyi:
Kraków, ulica Zielona 7
Telefon Nr. 510.

„Nowości illustrowane“ są wszędzie do nabycia!

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Aleksander Ripper. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.